Nr. 12. Kraków, 15 Czerwca 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek polityczno-ekonomiczny.

Od Wydawnictwa.

Upraszamy naszych Sz. Prenumeratorów, półrocznych i kwartalnych, o wczesne odnowienie przedpłaty, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu „Myśli“.

Polecamy pismo nasze Sz. Zarządom zdrojowisk, zwracając ich uwagę, że „Myśl“, jako jedyny organ literacko-społeczny w Polsce, nie podlegający cenzurze prewencyjnej, stanowi, zwłaszcza dla osób z Królestwa, najpożądańszą lekturę.

Z CHWILI.

(KRONIKA SPOŁECZNA.)

VI.

(Katastrofa w Przybramie. — Po uroczystości koronacyjnej. — Zjazdy. — Wybory w Belgii. — Możliwe pojednanie.)

Rzadko doprawdy o katastrofę w skutkach tak straszliwą, jaką okazała się ostatnia w Przybramie., w Czechach, spowodowana pożarem kopalni, gdzie 325 ludzi utraciło życie, gdzie tyleż rodzin pozostało bez opieki i bez chleba, gdzie setki dzieci utraciło ojców i tyleż żon mężów. Ogień zastał w podziemiach przeszło 800 górników a wynikłe skutkiem pożaru trujące pary, tamowały przystęp do wnętrza i utrudniały ratunek, tak, że zaledwie dwie trzecie pracujących zdołało ujść z życiem. Co się tam na miejscu dziać musiało, daje lekkie wyobrażenie fakt, że kilkunastu spieszących z ratunkiem, a między nimi inspektor kopalni, straciło życie, co się tam dziać musiało przy wspólnym grobie dla 300 ofiar, z której żadnej prawie poznać nie było można, to opisać może tylko naoczny świadek, my ze swej strony podnieść musimy potworny fakt, że katastrofa ta nie była dziełem przypadku, lecz spowodowaną została umyślną zbrodnią jednego z górników, który pod wpływem anarchistycznych teoryj coraz więcej wśród robotników kopalnianych nurtujących, dopuścił się tego zgrozą przejmującego czynu.

Robotnik ten nazwiskiem Kriz przyznać się już miał do winy, jako wspólnika wymieniając robotnika Hawelka. Dodać tu jeszcze musimy, że ofiarność na cele nieszczęśliwych okazała się imponującą. Dał tu przykład dwór, którego członkowie szczodrze pospieszyli z datkami, dalej władze rządowe i autonomiczne Czech, oraz każdy, komu los sierot i wdów 300 ofiar leżał na sercu. —

Z kraju korony Ś. Wacława przejść musimy do państwa Węgier, by właśnie tam odbytemu koronacyjnemu jubileuszowi parę uwag poświęcić.

Dwadzieścia pięć lat minęło, jak dzisiejszy cesarz Franciszek Józef I., logiką faktów zmuszony, włożył na skronie koronę Ś. Szczepana, namaszczając się jako król sąsiedniego, niegdyś podległego, a dziś samoistnego państwa węgierskiego. Z niebywałą wystawą i przepychem wocec swego króla, który na te uroczystości do Pesztu zjechał z całym dworem, obchodzili Węgrzy tę pamiętną dla siebie rocznicę, a lice każdego Madiara promieniało dumą, że członkiem jest narodu, który praw swych nie zaprzepaścił, który o prawa swe słusznie walczył do ostatniej kropli krwi a pokonany nie uległ, lecz wytrwałem dążeniem do celu dopiął swego, to jest uzyskał niepodległość najzupełniejszą. A chociaż w ojczyźnie Arpada są jeszcze męże-patryoci (stronnictwo Apony'ego i Kosuth na wygnaniu) którzy chcą tę ostatnią nić, jaką jest panujący wspólny, zerwać, to ogół węgierskiego narodu czując prawdziwą niezależność, potęgę i dobrobyt nie sięga planami tak daleko, słusznie uznając, że wspólna korona nie szkodzi bynajmniej rozwojowi państwa, który, mimo, że zbliża się do szczytu, nieustaje, przeciwnie trwa dalej. My Polacy mamy przed oczyma przykład, do czego prowadzi stalowa wytrwałość, solidarność i patryotyzm narodu: do wolności, do swobody, niezależności!. —

Przejdźmy z kolei do Nancy, gdzie właśnia zgasł ogień fajerwerków, urządzonych na cześć wielkiego ks. Konstantego i Czechów-sokołów.

Aleksander III., pan połowy świata, zmuszony wymogami etykiety pojechać do Kiel, gdzie oddał wizytę cesarzowi Wilhelmowi, chciał jednocześnie uspokoić opinię Francyi i wysłał tam swego brata po ukazie do Nancy na zjazd gimnastyków francuskich, a lubo fakt ten nie jest tak bardzo wybitnego politycznego znaczenia, mimo to pisma trzeciej Republiki uderzyły w surmę tryumfu jakby dziś Jena się powtórzyła, a Sedanu nigdy nie było.

Owacyowano carskiego brata, owacyowano sokołów, pan Carnot miał ten splendor uścišnięcia książęcej dłoni, słowem wszystko odbyło się gładko i składnie na niemieckiej granicy, jedynie wielkie manewry ze względów dyplomatycznych odpadły z programu.— Czerwiec roku bieżącego w ogóle dziwnie obfity jest w podróże i zjazdy panujących. A więc maleńka królowa niederlandzka z mamą zjechała do Berlina, prawnuk francuskiego żołnierza Bernadotte, król Szwecyi, oddawszy wizytę p. Carnot również do Cesarza Wilhelma pośpiesza, dalej niemogący się doczekać uznania prawowitości tronu, pan Ferdynand Bułgarski po Wiedniu wstępuje do Paryża, ztamtąd do Londynu, a dni najbliższe ujrzą w Poczdamie królewską parę włoską i t. d. i t. d. Zjazdy te, wizyty i rewizyty są bądź aktem etykiety i grzeczności bądź chęcią rozrywki po żmudnych trudach panowania i nie zdają się mieć żadnego donioślejszego znaczenia dla polityki. —

Ze spraw bieżących wewnętrznych europejskich państw, godne uwagi są wybory w Belgii do parlamentu.

Jak wiadomo, do dziś dzierżyła tam ster partya klerykalna, bardzo wstrętna narodowi, a gdy manifestacye ludu skierowane przeciw rządowi odniosły skutek o tyle, że rząd zarządził rewizyę Konstytucyi, mającą się dokonać przez nowy parlament, w kraju zawrzała szalona walka między stronnictwami, a do dziś nadeszłe wiadomości potwierdzają zwycięstwo, chociaż niezupełne, liberałów. W dawnej Brukseli klerykali stracili 13 mandatów do Konstytuanty, a 7 do senatu na korzyść postępowców, również w Leodyum i Ostendzie zwycięstwo jest po ich stronie. Rozruchy były w Antwerpii i Ath, gdzie katolików poraniono kamieniami.—

Już niejednokrotnie dzienniki niemieckie donosiły o możliwem „pojednaniu“ cesarza Wilhelma z Bismarkiem. Ma to nastąpić w Berlinie podczas przejazdu exkanclerza do Wiednia na ślub swego syna, gdzie Bismark ma dać cesarzowi potrzebne w różnych sprawach wyjaśnienia. Gdyby do tego przyszło i cesarz chciał dać posłuch potężnemu niegdyś księciu, to kierunek polityki uległby zasadniczej zmianie, sądzić jednakże należy, że choćby do spotkania przyszło, to o „pojednaniu“ mowy być nie może, mianowicie z tego względu, że stosunek Bismarka do cesarza jest stosunkiem poddanego do monarchy, o czem, cesarz Wilhelm na absolutnego władcę zakrawający, dobrze pamięta.

Z. P-vi.

Znaczenie wydawnictwa „Przeglądu emigracyjnego“.

W tych dniach wszystkie dzienniki załączyły prospekt „Przegl. emigr.“, którego 1-szy numer ujrzeć ma światło dzienne we Lwowie dnia 1 lipca. Sądzę, że nie od rzeczy będzie rzucić uwag kilka — ogólnych naturalnie — przedstawić tło — że się tak wyrażę, ogólnej sytuacyi naszego wychodźtwa, by uwidocznić sobie, że ważną bardzo sprawę — sprawę przyszłości milionów ludu polskiego, rozrzuconego losami po całej kuli ziemskiej, sprawę niezmiernej doniosłości „Przegl. emig.“ traktować będzie, a po przez ugory, porosłe chwastami mylnych pojęć lub nawet celowo fałszywych — pierwszą skibę — piórem tymczasowo — prowadzić będzie z wiarą dobrą, a przekonaniem głębokiem, że dobrej sprawie służy.

Po wychodztwie o charakterze czysto politycznym, po tych tłumach młodzieży powstańczej, która z placu bitw — dążyła na zachód, do Ameryki nawet, by tam najczę-

ściej czasowo tylko się zatrzymać, myśląc o powrocie na ziemię ojczystą — potem wychodztwie polityczno-sporadycznem, a tymczasowem, które stwarzało pierwsze ogniska polskości na szerokim świecie — nastąpiła inna era, gdy za chlebem wędrować zaczęto, za chlebem, którego wskutek rozmaitych powodów — ziemia ojczysta dostarczyć im nie mogła. Od połowy tego wieku płynie strumień ten ludzi szukających lepszych warunków bytu, niż te jakie mogą znaleść w kraju, płynie głównie za oceany, rozpływa się po świecie tysiącami drobnych strumieni, tocząc co dzień niemal swem korytem więcej i więcej tej wody — tych nędzarzy.

Nędza, od której zimnych objęć uciekają tysiące i tysiące rocznie, bo i ci nędzarze ciemni — niemi mają dążenie do wszechstronniejszego życia, pełniejszego, bo i oni mają serca i z zimną krwią nie mogą patrzeć na swe położenie bez wyjścia, na cierpienia niewysłowione swych rodzin, na śmierć powolną dzieci — na tę nędzną wegetacyę — nędza ta to na całym świecie stanowi podkład, na którym jedynie możebnem się staje porzucanie krajów rodzinnych, znajomych — to ten grunt na którym się bujnie rozrasta chęć wydobycia się z przykrych, nędznych warunków życiowych.

Po za tem oprócz przedsiębiorczości, skłonności do awanturniczego życia, jedną ze sprężyn najenergiczniej wyrzucających ludzi z gniazd rodzinnych — są listy, pieniądze, wiadomości nadsyłane przez szczęśliwych emigrantów do biednych znajomych w kraju. Dzisiaj już prawie każdy emigrant wyjeżdża z kraju z kartą okrętową w ręku, z pieniędzmi nieraz przysłanemi z za oceanów.

Tym sposobem płynie dziś kilkadziesiąt tysięcy (40—60) rok rocznie z Galicyi, Kongresówki, Poznańskiego. Oprócz tej emigracyi normalnej, że się tak wyrażę, płynącej już utartem korytem od czasu do czasu, przechodzimy „gorączki“ emigracyjne. Każdy pamięta gorączkę emigracyjną z poznańskiego do Ameryki północnej po wojnie prusko-francuskiej, każdemu w uszach brzęczy jeszcze krzyk i alarm, jaki wywołała przed 2-ma niespełna laty „gorączka brazylijska“. Myliłby się ten, ktoby sądził, że więcej takich gwałtownych emigracyj „tych gorączek“ nie będzie.

Dziś — niech rząd jakiegoś państwa amerykańskiego lub afrykańskiego zacznie dawać wolne przejazdy i zawiadomi przez agentów ludność kraju — a naszych miast tysiące nędzarzy znów popłynie i znów będzie gwałt, krzyk, narzekania na agentów. Bez nędzy i ciemnoty nie byłoby „gorączek“, a nawet samej emigracyi.

Przy dzisiejszych warunkach, faktem jest, że powstrzymać emigracyi, a nawet znacznie zmniejszyć jest rzeczą niemożebną, że już z górą $1^1/_2$ miliona naszych rodaków znajduje się w Ameryce północnej i południowej, Afryce, Australii, dziesiątki tysięcy w Azyi i we wszystkich krajach Europy.

Mamy więc już całe społeczeństwo polskie około 2 milionowe, liczące w swem gronie ludzi bogatych, wykształconych, dzielnych pracowników na wszystkich polach wiedzy, przemysłu, mamy dziesiątki pism polskich. Dotąd brakło jednakże centrum, w którem by się te nici schodzić mogły, brakło tej spójni w kraju, do której mogliby się schodzić interesa, wiadomości o rodakach naszych po za krajem, z drugiej strony brakło informacyi dla zmuszonych emigrować, informacyi, których brak dziesiątkami tysięcy ofiar przypłaciliśmy, brakło zresztą zrozumienia, szerszego poglądu na sprawę emigracyi. „Przegl. emigr.“ chce zbudzić z obojętności do spraw emigracyjnych, chce dążyć do tego, by żaden emigrant niepotrzebnie nie wychodził z kraju, by jeżeli już wychodzi — wiedział gdzie i po co idzie, by nie był straconym dla życia polskiego, dla myśli polskiej, żeby o tysiące mil czuł łączność językową i plemienną ze swą macierzą — metropolią. „Przegl. emigr.“ słowem dążyć będzie do tego, by budzić życie narodowe wśród emigrantów i układać stosunek z krajem normalniej, z korzyścią dla obydwu stron. Zadanie to wielkie! Pismo go tylko częściowo i tymczasowo spełniać może. Pierwszy to jedynie i trudny krok — do ludzi przeto myślących zwraca się „Przegląd“ by słowem i czynem popierali go.

Antoni Hempel.

(Adres Redakcyi „Przeglądu emigracyjnego“: Lwów, Brajerowska 20, St. Kłobukowski).

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. S. W. w Kr. Polemikę w wiadomej sprawie zamknęliśmy, dlatego artykułu Pańskiego nie wydrukujemy.

P. Z. w Kr. Poemat „Wojna“ nie dla nas.

P. F. N. w Sw. Do kosza.

P. E. W. w Z. Sprawozdania o książce Göhrera nie wydrukujemy, gdyż zawiera ono zbyt wiele szczegółików, a mało myśli ogólniejszych. Prosimy bardzo o inne prace, bodaj tego rodzaju, lecz natury bardziej syntetycznej.

MISCELANEA.

*** *Konkursa.*

Dnia 1 Lipca upływa termin nadsyłania prac na konkurs dramatyczny im. Wołodkowicza. Jak wiadomo sztuką nagrodzoną na tym konkursie, ma być otwarty nowy teatr w Krakowie. Wobec tego jednak, że inauguracya teatru nastąpi nie wcześniej, jak w maju r. p. i że, z powodu krótkiego terminu, wielu autorów udziału w konkursie wziąć nie mogło — sądzimy, iż wskazanem byłoby przedłużenie terminu przynajmniej do 1 września b. r.

Na konkurs dramatyczny „Kuryera warsz.“, którego termin upłynął 15 bm. nadesłano 34 prac.

*** Wychodzące od kilku miesięcy w Berlinie czasopismo pt.: „Allgemeine Theater-Revue für Bühne und Welt“ zamieściło krótki ale bardzo treściwie napisany artykuł w formie korespondencyi z Krakowa, którego autor p. Adolf Tilles kreśli ogólny pogląd na ostatnie trzydziestolecie naszej scenicznej literatury i podaje zwięzłe charakterystyki najwybitniejszych komedyopisarzy i dramaturgów. Szereg tychże rozpoczyna sylwetka Blizińskiego, po której następują charakterystyki: K. Zalewskiego, Z. Sarneckiego, M. Gawalewicza, E. Lubowskiego, M. Bałuckiego i Al. hr. Fredry syna. Z pośród dramaturgów wymienia autor Asnyka, Gadomskiego, Bełcikowskiego, Rapackiego, Łętowskiego, Kozłowskiego i Świętochowskiego. Z pomiędzy młodszych wymienia p. Tilles jeszcze: Nossiga i St. hr. Rzewuskiego.

*** Akademia Umiejętności ogłasza konkurs na stypendyum z fundacyi śp. Seweryna Gałęzowskiego w kwocie 500 franków. Celem stypendyum jest dopełnienie studyów naukowych za granicą. Tym razem ubiegać się mogą o nie kandydaci, poświęcający się naukom przyrodniczym. Podania wnosić należy w Akademii do dnia 25 bm.

*** Prof. Władysławowi Łuszczkiewiczowi, jednemu z najwybitniejszych pracowników na polu historyi sztuki, autorowi przeszło 70-ciu prac naukowych, a długoletniemu, obecnie ustępującemu, przewodniczącemu komisyi historyi sztuki w Akademii Umiejętności, złożyli członkowie tej komisyi na posiedzeniu dnia 2 bm., dla uczczenia jego zasług, album z portretami fotograficznemi, w starożytnej oprawie renesansowej z wyciskanemi w skórze popiersiami oraz kartą dedykacyjną.

*** Pani Zapolska została w tych dniach zaangażowaną na stałe do teatru Gymnase, drugiego po Komedyi Francuskiej w rzędzie poważnych teatrów paryskich. Gymnase jest ulubioną sceną Wiktoryna Sardou. Obowiązki swe zacznie pani Zapolska pełnić od d. 1 września. Jedną z pierwszych ról, jaką pani Zapolska na nowem stanowisku wykona, będzie rola bohaterki w nowym dramacie St. hr. Rzewuskiego: „La princesse Segi“.

*** P. Kazim. Bartoszewicz objął w „Kraju“ petersburskim dział sprawozdawczy ze wszystkich wydawnictw galicyjskich.

*** Występy artystycznego kierownika teatru Rozmaitości w Warszawie p. Józefa Kotarbińskiego na scenie hr. Skarbka we Lwowie cieszyły się dużem powodzeniem. Znakomity artysta grał między innemi: „Uriela“, „Hamleta“, „Otella“, oraz Filipa Derbley (w „Właścicielu Kuźnic“) i Heineckiego (w „Honorze“ Sudermana). Krytyka podnosi ze szczególnem uznaniem inteligencyę i głęboką refleksyjność, jakie przenikają każdą z odtwarzanych przez Kotarbińskiego postaci.

*** Znakomitego fizyka Hermana Helmholtza, prof. Uniw. w Berlinie, wybrała Akademia Umiejętności w Paryżu swoim członkiem, w miejsce zmarłego cesarza Dom-Pedra.

† Dr. Teodor Stamm, znany ekonomista, twórca reformy posiadłości rolnych, zmarł Wiesbadenie.

† Jan Alfons von Helferich, prof. Uniw. ekonomista, zmarł w Monachium.

*** Prezesem teatrów rządowych warszawskich, w miejsce generała Palicyna, mianowany został pułkownik Karandiejew.

*** W ostatniej chwili dowiadujemy się, że nawiązano ponownie rokowania w sprawie polskich przedstawień operowych na wystawie wiedeńskiej.

*** Paweł Bourget napisał nową powieść pt.: „Cosmopolis“, w której charakteryzuje kosmopolityczne sfery Anglii, Hiszpanii, Niemiec i Włoch.

*** P. Lucyan Arreat wydał w Paryżu książkę, będącą pierwszą próbą psychologii malarskiej. Dzieło to pt.: „Psychologie du peintre“ dzieli autor na pięć części.

*** Operetka lwowska rozpoczęła 1 bm. swą gościnę w Krakowie. W personelu znajdujemy kilka nowych sił, mianowicie p. Kliszewską oraz pp. Zegarkowskiego i Taborskiego. Kierunek artystyczny spoczywa w zasłużonych rękach dyr. Jareckiego. Popularna operetka Zöllera pt.: „Ptasznik z Tyrolu“ zdobyła sobie u nas trwałe powodzenie.

*** Teatr krakowski dał w ubiegłym sezonie 183 przedstawień. Dzieł scenicznych odegrano 104, z tych oryginalnych 60. Prób scenicznych odbyło się 422. Cały personel, prócz służby, składał się z 49 osób.

*** Najnowszy romans angielski pt.: „Dawid Grieve“ przyniósł autorce pani Humphry Ward 17000 funtów szterlingów.

*** W ostatnim zeszycie warszawskiego „Ateneum“ podaje p. Leopold Meyet treść nieznanego

Nr. 12. Kraków, 15 Czerwca 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartał. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.—Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

CZYJA WINA?

Z powodu zawieszenia wydawnictwa „Przewodnika bibliograficznego“ w Krakowie, otrzymujemy następujące pismo:

Dnia 1. Czerwca b. r. wyszedł ostatni numer „Przewodnika bibliograficznego“; jest to numer 6 rocznika XV. Na czele zeszytu wyłuszcza zasłużony redaktor i wydawca: Dr. Władysław Wisłocki powody, jakie go zniewoliły do zawieszenia wydawnictwa, które przez lat piętnaście wiernie służyło nauce polskiej.

Oto, krótkie dzieje „Przewodnika“ w oświetleniu samego wydawcy:

„Gdy w połowie r. 1878 „Przewodnik bibliogr.“ skromny swój poczynał żywot, nie można było w pierwszych chwilach liczyć na to, żeby tak suche w swoim rodzaju pisemko wśród światłej inteligencyi polskiej odpowiednią w krótkim czasie ilość prenumeratorów znalazło i żeby przez dłuższy okres nieprzerwanie wychodzić mogło. Mimo to, dzięki łaskawemu poparciu, jakiego zewsząd doznałem, już w ciągu r. 1878 i 1879 liczba zgłaszających się o „Przewodnik“ przedpłacicieli do tego wzrosła była stopnia, że obawa już żadna na przyszłość o brak potrzebnych funduszów na zapłacenie druku i papieru zachodzić nie mogła, a tem samem i dalszy byt wydawnictwa na długo zdawał się być zabezpieczonym. Co więcej, gdy w latach następnych liczba prenumeratorów, choć zwolna. ale zawsze jeszcze wzrastała, można nawet było ramy „Przewodnika“ nieco rozszerzyć i obok dwóch działów pierwotnych: „Nowości“ i „Ogłoszeń“ zaprowadzić w nim dodatkowo: od początku r. 1882 „Kronikę“, od lipca zaś r. 1889 dział „Nut muzycznych“.

„I zdawało się, jak powiadam, że dalszym losom tak suchego i wyłącznie nauce oddanego wydawnictwa nic już zgoła w przyszłości zagrażać nie powinno było. Niestety po jakiem takiem kilkunastoletniem jego istnieniu nastąpiło, czego się bynajmniej nie mogłem spodziewać, i z czem się pierwotnie nie liczyłem wcale: pod sam koniec grudnia r. 1890 zabroniła cenzura warszawska „Przewodnikowi bibliogr., czego dawniej nie czyniła, wstępu do cesarstwa rosyjskiego“. A gdy po całorocznem wyczekiwaniu na polepszenie się stosunków i teraz cenzura warszawska zabroniła „Przewodnikowi“ wstępu do Rosyi na zawsze i bezwarunkowo, redaktor Dr. Władysław Wisłocki widział się zmuszonym nie mogąc się na przykrzejsze narażać następstwa, zawiesić na razie wydawnictwo.

Wobec tego, że „Przewodnik“ jako pismo nauce poświęcone — tylko same luźne tytuły dzieł, w porządku alfabetycznym, według nazwisk autorów, pomieszczało, że więc ze względu na treść swą „Przewodnik“ wcale nie zagrażał bytowi państwa rosyjskiego — zrozumie i przyzna każdy, że stał się on ofiarą prądu, który pragnie zniszczyć i wynarodowić wszystko, co polskie.

Obecnie potrzebowałby „Przewodnik bibliogr.“ do utrwalenia swego bytu tylko takiej liczby prenumeratorów, która mogłaby mu wypełnić ubytek zakordonowych, na co chyba wobec bardzo niskiej ceny pisemka (2 złr. 20 ct. rocznie) mogłyby się zdobyć: Galicya i Poznańskie.

W upadku „Przewodnika“ dużośmy i ciężko zawinili. Prenumerowanie takiego pisma, jak „Przewodnik bibliogr.“ winno być obowiązkiem moralnym nietylko księgarzy, czytelni itp., ale każdego Polaka, choćby tylko pobieżnie zajmującego się swojskiem piśmiennictwem i zrzadka do książki zaglądającego.

A jednak wszyscy razem nie zdobyliśmy się na rozebranie 600 egzemplarzy, dla zapewnienia przynajmniej bytu materyalnego pisma; wprawdzie i zagranicą nie utrzymały się podobne wydawnictwa, ale to ze względu na wysoką ich cenę. W Czechach około roku 1878 zaczęło wychodzić pod redakcyą Urbanka wydawnictwo bibliograficzne, które upadło po kilku latach istnienia, cena jednak prenumeracyjna tego pisma wynosiła cztery razy tyle co przedpłata „Przewodnika“ Dr. Wisłockiego; w Petersburgu zaś musiało również upaść wydawnictwo bibliograficzne rosyjskie wydawane przez Gardiena z powodu wysokiej ceny prenumeracyjnej, wynoszącej w Rosyi 6 rubli, a zagranicą 8 rubli.

Nasz „Przewodnik“ kosztował bajecznie mało, brak tedy potrzebnej do jego utrzymania liczby przedpłacicieli jest bardzo smutnym objawem, świadczącym nie wiedzieć po raz który o naszej bezradności i bezgranicznej apatyi.

Księgarze polscy poczuli dopiero teraz dotkliwy brak „Przewodnika“, który przez zwykłe i niedokładne katalogi zastąpić się nie da.

Nauce nie zastąpią „Przewodnika“ żadne wydawnictwa bibliograficzne interesowanych sfer księgarskich, które umieszczają w nich tylko to, co znajduje się w handlu księgarskim i co im bezpośrednią korzyść przynieść może. „Przewodnik bibliogr.“ nie służył nikomu; redaktor umieszczał w nim regularnie każdy dorobek naszej pracy umysłowej i tak systematycznie, że każdy czy dziś, czy w przyszłości jasny mieć może pogląd na owoce piśmiennictwa polskiego przez ciąg ostatnich lat 15, jeśli tylko zechce przejrzyć 15 roczników „Przewodnika bibliogr.“. — Naszem zdaniem powinna Akademia Umiejętności nietylko dla własnych celów, gdyż sama wiele publikuje wydawnictw, lecz dla dobra nauki polskiej, której naczelną jest przewodniczką, podjąć się wydawnictwa „Przewodnika bibliogr.“, przez co niewątpliwie bardziej zasłuży się społeczeństwu i nauce polskiej, niż przez forsowanie mniej ważnych, specyalnych wydawnictw.

Nie wątpimy, że Akademia nie omieszka skorzystać z nadarzającej się sposobności zadokumentowania tej łączności duchowej, jaka istnieć winna między ogółem polskim a najwyższą naszą instancyą naukową. Przejście „Przewodnika“ pod firmę Akademii zjedna jej w całej Polsce gorące uznanie*).

W ostatnich dniach słyszeliśmy, że „Związek literacki“ w Krakowie postanowił, dzięki ofiarności jednego ze swych członków, przejąć wydawnictwo „Przewodnika“ i zapewnić mu byt materyalny przez pokrywanie niedoborów do wysokości 200 złr. Aczkolwiek chwalebną jest ta ofiarność, mimo to niewątpliwie pewniejszą i silniejszą na przyszłość podstawę zyskałby „Przewodnik“, gdyby się nim zaopiekowała Akademia Umiejętności **).

γ.

*) Tem większe, że dr. Wisłocki należy do jej członków. *(Przyp. Red.)*.

**) Zdanie naszego Sz. korespondenta w zupełności podzielamy. *Przyp. red.*

O SŁOWACKIM.

(Uwagi nad „Lillą Wenedą“)

napisał Dr. Henryk Monat*).

Dwa wielkie plany zajmowały umysł Juliusza Słowackiego przez długie lata: udramatyzowanie Polski przedhistorycznej w szeregu tragedyj, których miał napisać sześć i przedstawienie Polski z czasów rozbiorowych w wielkiej powieści poetycznej: w „Beniowskim“. I jeden i drugi zamiar nie doszedł do skutku. Z tragedyj posiadamy dziś tylko dwie: „Lillę Wenedę“ pierwszą i „Balladynę“ prawdopodobnie przedostatnią**). Z „Beniowskiego“, który miał składać się z czterdziestu czterech pieśni, tylko pierwsza część została wykończoną i dochowała się w trzynastu pieśniach; druga część doszła nas tylko w kilku ułam-

*) Zwracamy szczególną uwagę naszych czytelników na pełną oryginalnych poglądów pracę Dra Monata, znanego tłómacza Słowackiego na język niemiecki. *Przyp. Red.*

**) Na domysł ten, że po „Balladynie“ miał nastąpić przynajmniej jeden jeszcze dramat, naprowadza ustęp z listu do Krasińskiego: „powiem Ci, że Balladyna jest tylko epizodem wielkiego poematu w rodzaju Aryosta“. Gdyby poeta na Balladynie zamyślał był ukończyć swój cykl dramatyczny, to zapewnie byłby napisał: „końcowym epizodem“. Nadto i z treści „Balladyny“ dałyby się wysnuć wnioski, przemawiające za tym domysłem. W „Balladynie śmierć bohaterki zadowala nas wprawdzie etycznie, ale zostawia po sobie próżnię historyczną: tron nikomu niezapewniony.

kach; poeta zaniechał bowiem pracy a ze szczątków treści bardzo bogatej wysnuł swoje świetne w niektórych ustępach a luźne w budowie dramaty: „Ksiądz Marek“ i „Sen srebrny Salomei“. Plan drugi, dotyczący przedhistorycznej Polski zaniechany przez poetę w formie dramatycznej — urósł w pomysł tytaniczny i zmartwychwstał w śpiżowych oktawach „Króla Ducha“.

Napisał więc Słowacki z zamierzonego cyklu tylko dwa dramaty; o ułamkach przechowanych („Krak“ „Wallenrod“) trudno powiedzieć, czy pochodzą z zaginionej całości, czy też poeta pracę swą na nich zakończył. Z dwóch zachowanych w całości dramatów, krytyka „Balladynę“ osądziła za utwór doskonalszy a nawet za prawdziwie wielką kreacyę. „Lilli Wenedzie“ miano natomiast bardzo wiele do zarzucenia: reminiscencye z Szekspira i Schillera, cudowność fabuły, allegoryczność pewnych czynników akcyi a wreszcie niedostateczność umotywowania wypadków.

Nie wszystkie te zarzuty zdołają się utrzymać przy ponownem rozpatrywaniu dzieła. Wejdźmy tylko w myśl poety. Słowacki chciał udramatyzować upadek Wenedów. Sam pomysł jest tak tytaniczny, że choćby wykonanie było o wiele słabsze, niż w zadziwiającej prostotą układu swego tragedyi Juliusza, dla samego już pomysłu zaliczać musielibyśmy w naszej zwłaszcza literaturze „Lillę Wenedę“ do dzieł pierwszorzędnej wartości. Od Eschylosa aż do Goethego żaden poeta dramatyczny nie pokusił się o coś podobnego. Tragedye greckie, oparte na upadku Troji, są już dlatego tylko dramatami osób pojedyńczych, bo i zwycięzcy i zwyciężeni jednej są wiary i narodowości. Synowi narodu, który w czasach dopiero co minionych stracił samodzielność polityczną, przeznaczonem było wprowadzić do literatury, nowy ten czynnik walki śmiertelnej całego społeczeństwa. Dostrzedz chciano w „Lilli Wenedzie“ wpływu idei historycznych Krasińskiego zwłaszcza „Irydyona“. Nie mogłem doszukać się tego wpływu. Owszem, w pierwszym liście poety do Krasińskiego, umieszczonym przed „Balladyną“, znajduję taki charakterystyczny ustęp: „Tak więc, kiedy Ty dawne, posągowe Rzymian postacie napełniasz wulkaniczną duszą wieku naszego — ja z Polski dawnej tworzę fantastyczną legendę, z ciszy wiekowej wydobywam chóry prorockie i na spotkanie twojej czarnej, piorunowej Dantejskiej chmury prowadzę lekkie, tęczowe i Ariostyczne obłoki; pewny, że spotkanie się nasze w wyższej krainie nie będzie walką, ale tylko grą kolorów i cieni z tym smutnym dla mnie końcem, że twoja chmura większym wichrem gnana i pełniejsza piorunowego ognia moje wietrzne i różnobarwne obłoki roztrąci i pochłonie.

Poeta nie zajmował się myślą allegoryczną w Krasińskiego utworach, choć ją zapewnie głęboko pojął — ale rozkoszował się postaciami, jakie stworzył autor „Nieboskiej“, lubował się w duchu Irydiona, którego wielki przyjaciel jego „położył pod krzyżem w Koloseum i nakrył złotemi skrzydłami anioła“ a i sam z pradawnych czasów, z mgły przedwiekowej mocą swej wyobraźni wskrzeszał postacie. „Lilla Weneda“ nie jest allegoryą, ale jest dramatem serc ludzkich; nie filozoficzne tezy, ale namiętności życia, uczucia chwili ścierają się tu z sobą.

Zanim zastanowimy się nad akcyą i nad pojedyńczemi postaciami tragedyi, w których poeta uosobił dwa walczące narody, poświęcić wypada kilka słów charakterowi tych narodów w ogóle. Uczyniono poecie zarzut, że z pewną dowolnością wybrał sobie Wenedów za ofiarę zniszczenia, że nie uzasadnił ich upadku, że nie uczynił ich winnymi.

Jeśli była pewna dowolność w charakterystyce Wenedów, to chyba tą, że poeta Słowian uczynił w swojej tragedyi Celtami. Wenedyjskie harfy i dwunastu harfiarzy i dwunastu wodzów dzielnych plemion i samo imię króla Derwid, urobione zapewne ze słowa Druid, oznaczającego kapłana i śpiewaka, wszystko to przypomina Celtów. Słowacki czytywał za młodu jeszcze powieści Walter-Skota, czytywał Ossyana a później napisał szkocką tragedyę „Wallas“. Pisał był nawet do matki, że melodya walca, którą grywała mu na fortepianie, krąży mu po głowie i zlewa się z treścią szkockiego romansu, czytanego kiedyś w młodości. Narody wyniszczone, pamiątki pogrzebane, zamarłe głosy jakiejś ostatniej pieśni rozpacznej, dosłyszalnej zaledwie dla ucha wieszcza — sympatyczne znajdowały echa w sercu poety. Runy, druiczne głazy, kapłani, rycerze, wiecznie byli ulubionemi jego tematami. W „Grobie Agamemnona“, w „Królu Duchu“, w „Beniowskim“ i w „Lilli Wenedzie“ spotykamy je zarówno, jak w pierwszych utworach Juliusza.

Jako młody prawnik rozczytywać się też musiał poeta w dziele Tadeusza Czackiego: „O litewskich i polskich prawach“ i tam zapewne, jeśli nie w tekście samym, to w przypiskach wiele znalazł uwag i pojęć, które przeszły później do dramatu. Pozwolilibym sobie nawet przypuścić, że u Czackiego poeta po raz pierwszy odczytał też wzmiankę o „Żmiji“, którego zrobił potem bohaterem swej powieści poetycznej. O Celtach Czacki (na stronnicy 19 tej i następnych swego dzieła w wydaniu z r. 1861 w Krakowie) w przypiskach rozprawia dość obszernie. Mówi on o runicznych literach, wykopaliskach, pieśniach ludowych, opowiada o „bardach“ druidach, lub „skaldach“, co śpiewali o powinnościach wodzów i żołnierza, o sromocie klęski, o świetności zwycięstwa“. „Śród okropno wspaniałych opisów wojny lub pojedynku widzieć można naukę, jak szlachetność i odwaga nie wydają wściekłości“.

Druidzi ci byli, wedle Czackiego, „razem kapłanami, śpiewającymi dziejopisami wielkich dzieł i nauczycielami. Skaldy byli poeci Szwecyi i Danii, miany za najlepszego ze Skaldów był nazywany królem poetów i kiedy gruba niewiadomość nazywała talent poetów nadzwyczajną rzeczą, zbliżono go imieniem do czarów. Ten król poetów nazywał się w islandzkim języku Jofur a czary tofur“.

Dalej opowiada Czacki, że i u nas na

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

8) CZĘŚC PIERWSZA.

Długa jego żółta twarz, w której tylko oczy zostały czarne, wśród białości gęstych włosów i długich, spadających wąsów, wyrażała niemą rozpacz.

— Pułkowniku — krzyknął kapitan Beaudoin, nie czekając zawezwania swego dowódcy — trzeba rozstrzelać z pół tuzina tych zbójów...

Porucznik Rochas kiwnięciem głowy potakiwał, ale pułkownik z gestem bezsilności opuścił ręce.

— Za dużo ich jest!... Jakże chcecie!... blisko siedmiuset!... Kogóż z pomiędzy nich wziąć!.. A zresztą wiecie sami!... generał nie chce!... On chce być ojcem żołnierzy... powiada, że w Afryce nigdy nie ukarał ani jednego!... Nie, nie!... ja nie mogę, nie... To straszne!...

Kapitan odważył się powtórzyć:

— To straszne!... To się wszystko kończy!..

Jan już odchodził, gdy usłyszał majora Bouroche, którego nie widział stojącego na progu karczmy. Stary wojak szeptał półgłosem: nie ma karności!... wszystko wolno!... rozluźnienie!... psa warta armia!... Zanim tydzień minie, oficerowie będą brać po łbie od żołnierzy!... Gdyby przecież zaraz zmiejsca kilku z tych łotrów kulą w łeb dostało, to by się inni opamiętali!...

Nikt nie został ukarany. Oficerowie w aryergardzie, która konwojowała furgony kolumny, mieli tę szczęśliwą myśl, że kazali pozbierać tornistry i karabiny, posiane wzdłuż obu rowów drogi. Brakowało tylko kilka sztuk, ludzie zostali uzbrojeni o świcie, niby ukradkiem, dla przytłumienia całej sprawy.

Rozkaz został wydany aby zwinąć obóz o godzinie piątej, ale już o czwartej obudzono żołnierzy, przyśpieszono odwrót na Belfort, z tą pewnością, że prusacy są zaledwie o dwie lub trzy godziny drogi. Musiano się znowu zadowolnić sucharami i wojsko zostało jakby podbite po tej nocy za krótkiej i gorączkowej, bez łyżki gorącej strawy w żołądku. I znowu tego ranka porządek marszu został mocno nadwerężony, przez to zbyt pośpieszne wyruszenie z miejsca.

Był to dzień jeszcze gorszy, dzień smutku bezgranicznego. Wygląd kraju, jaki przebiegali, zmienił się zupełnie. Weszli teraz w okolicę górzystą, drogi to pięły się w górę, to spadały po pochyłościach, drzewami iglastemi porosłych, a wąskie doliny, krzewów jałowcu pełne, całe złotem kwieciem były pokryte. Ale w rozległym tym kraju, pod palącem słońcem sierpniowem, panika szerzyła się z każdą godziną, od wczoraj coraz większa. Nowe telegramy, zalecające merom, aby uprzedzili mieszkańców, iż najlepiej zrobią, jeżeli gdzieś w bezpieczniejszem miejscu ukryją, co mają kosztowniejszego — doprowadziły strach i przerażenie do szczytu. A więc nieprzyjaciel jest blisko!?... Czy chociaż będzie czas uciec!?... I wszystkim się zdawało, że słyszą już z każdą chwilą rosnący grzmot najazdu, a głuchy ten huk niby huk fal rzeki wezbranej wzrastał za każdą nową wsią, jaką pułki przechodziły wśród krzyków rozpaczy i płaczu.

Maurycy szedł jak lunatyk, bezwiednie, z nogami pokrwawionemi, wpół zgięty pod ciężarem tornistra i karabina. Już nie myślał, szedł przed siebie, jakby we śnie, trapiony przez zmorę tego, co widział i nawet odgłos stąpania towarzyszów, dokoła niego idących, nie uderzał jego ucha. Czuł tylko przy sobie

Żmudzi „znalazł Mateusz Nielubowicz w jednej pieśni wezwanie wojny, podobne do szkockich, w zmoczeniu krwią włóczni i posłania drzewa opalonego do pokoleń innych czyli klanów, których imię mało co przeistoczone na klony, w tej pieśni dostrzegł“.

Z ostatniej tej uwagi wnosić mógł poeta, że w słowiańskich i letońskich szczepach były jakieś pierwiastki celtyckie, jeśli skądinąd domysły takie nie były mu znane. W każdym razie znajdujemy w dramacie zaraz w prologu to budzenie narodu do wojny, kiedy harfiarze na wezwanie Róży Wenedy zabierają się „ożywić ludy po siołach pieśnią, jak skrą“.

A i przesąd, zbliżający talent poetycki do zdolności czarowania, znalazł zastosowanie w tragedyi. Gwinona uważa pojmanego króla Derwida za czarownika i żąda od niego, aby ją nauczył swoich czarów. Wreszcie wprowadził poeta do dramatu przejętą z wyobrażeń o Celtach wiarę w potęgę pieśni, jako główną sprężynę całej akcyi.

Przypuszczał on, że Lechicka Polska powstała przez najazd i najazd ten Lechitów na Wenedów uczynił przedmiotem swej tragedyi. Wenedzi giną w walce z Lechitami. Dlaczego? Co zawinili? Oto pytania, które mają być zarazem zarzutami, że nie ma w dramacie winy tragicznej. Przedewszystkiem jednak szukamy prawdy w poezyi a nie motywów na modłę estetyczną. Nigdy zaś nie możemy doszukać się w losie narodów tej winy, co w losie jednostek. Bo i cóż powiemy o Celtach, których podbijał Cezar, których niszczyli: Hengist i Horsa a których wyniszczyli najezdnicy normańscy, cóż powiemy o tych Słowianach, co mieszkali niegdyś w szerokich swoich sadybach, dziś zajętych przez Niemców, których ślad zupełnie zginął, których imienia nawet nie znamy. Cóż te narody zawiniły?

Nie szukajmy tedy recepty greckiej o winie tragicznej, która po dziś dzień pokutuje niepłodna w głowach estetyków urzędowych! Sami nawet tragicy greccy nie wszędzie czynili jej zadość, Szekspir zaś w najwspanialszych swoich kreacyach, wstrząsających nas do głębi swoją tragicznością, nie uznaje wcale potrzeby tragicznej winy. Trudno też powiedzieć, co zawinił król Lear, co zawiniła Desdemona. Sprytni wykładacze zawsze wyszperają choć cień winy, choć cień cienia winy! Ale poeta nie pisze dla komentatorów. A szeroka publiczność czytająca wzrusza się upadkiem bohatera, mimo iż winy nie dostrzega!

Wenedzi są, mimo zabobonów i półdzikości, wykształceni, lubią muzykę, poezyę, mają sławną wielką przeszłość i dlatego giną! Giną, bo przyszło im odeprzeć nielicznych, ale zahartowanych w boju najezdników bezwzględnych, bez serca dla litości przystępnego, bez umysłu, wrażliwego na piękno. Tak zginęła stara, ruska kultura w najeździe tatarskim. Ruś była potężniejsza liczbą, ale nigdy razem nie stanęła do boju, była wyższa kulturą, wiarą i to ją zgubiło. Bo nie była to kultura, prowadząca naród do wyżyn, dająca mu wyobrażenie wartości własnej, ale kultura bardzo jeszcze pierwotna, która nie przysparzała sił a ujmowała srogości!

Bardzo pięknie oddał poeta w kilku miejscach różnicę miedzy Lechitami a Wenedami. Wenedzi mają dwunastu wodzów, a naczelnymi ich wodzami są: Lelum i Polelum, razem obok siebie stojący i łańcuchem związani: serce i głowa narodu.

Wenedów zwołuje się po siołach do walki, bo rozsypani są po kraju bez odwagi, bez wiary w siebie, a jak wróżka Róża mówi: w piersiach umarłych zamiast serca, znajdowała kłębek robaków a jedna pierś była pusta — bez serca. Choć silniejsi liczbą, roślejsi wzrostem, ulegli Lechitom, a Lech przechwala się:

„Gwinono! patrzaj, jaki to lud rosły.
„Ja komar — i krew z niego wycedziłem!

W zwycięstwo o własnych siłach nie wierzą już Wenedzi, zepsuł ich długi pokój; od stu lat nie odzywała się wielka pieśń bojowa, która rycerzy wiodła do zwycięstw. Wierzą oni tedy tylko w siłę czarowną tej pieśni i gdyby ich król pojmany Derwid zjawił się ze swoją harfą złotą w boju i zagrał tę niesłyszaną od wieków pieśń, to zwycięstwo zostałoby przy nich. Potrzeba im skupienia, wielkiej wieszczej poezyi, której nie stało jednak w dniu pogromu — i dlatego tracą wiarę i nadzieję i giną.

Całkiem inaczej przedstawiają się ich zwycięscy: Lechici. Mniejsi liczbą, barbarzyńscy służą pod królem dzielnym. żądnym zwycięstw i łupów, który wojnę za rzemiosło uważa a w polityce oszukiwać się daje — a służą ślepo. Kiedy Polelum topór rzucił na ojca, Lechowi czyn ten zasypiać nie daje. Żąda przeto od rycerza Sygonia, aby stanął przed nim, bo chce na jego głowie spróbować toporu! Sygoń jest łysy i próbka udać się nie może. Cóż to za dziki rys barbarzyństwa i despotycznej woli króla!

Kiedy Róża Weneda, najenergiczniejsza postać Wenedów, zabić chce pojmanego Lechona, prośby jego odwodzą ją od tego i dopiero po kłamliwych opowiadaniach Ślaza o lechickich okrucieństwach, dopełnia zabójstwa. Żona Lecha, Gwinona, natomiast znęca się nad bezbronnym starcem Derwidem z tak okropnie obmyślonem okrucieństwem, że budzi w nas wstręt. (C. d. n.).

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

(Grzebanie pism i skandal wiedeński. — B. Prus o Matejce i wystawie).

Żyjemy, jak wiadomo, w epoce panowania bezczelnej blagi, humbugu, robienia karyery przez miernoty — słowem w okresie wcale nieciekawym, który szczególnie u nas odpowiada zupełnej dekadencyi moralnej i duchowej.

Kilka dni temu dopiero prawiliśmy dużo i głośno o spólności narodowych ideałów, o dążeniach ku wzmacnianiu ducha przez ciało itd. Szkoda tylko, że słowa nasze prysły tak prędko jak bańka mydlana, że w kilka

---

na lewo Jana, zgnębionego takiem samem zmęczeniem i taką samą boleścią. Przecież to politowania głębokiego godne, te wsie, przez które przechodzili, a na których widok serce się ściskało z rozpaczy i bólu. Wszędzie, gdzie tylko zbliżało się to wojsko w odwrocie, ta rozsypka żołnierzy wyczerpanych, nogi za sobą ledwie włóczących, mieszkańcy porywali się szybko i ucieczkę swą przyśpieszali. Oni, tak spokojni i pewni jeszcze dwa tygodnie temu, cała ta Alzacya, która oczekiwała wojny z uśmiechem na ustach, pewna, że bić się będą, ale na ziemi niemieckiej!... Tymczasem nie Niemcy, ale Francya jest przez wroga najechana i nie w Niemczech, ale tu, u nich, dokoła ich domów i pól, burza szaleje, straszny uragan gradu i piorunów, całą prowincyę w ciągu dwóch godzin niszcząc i zalewając doszczętnie. Przed wrotami, wśród zamieszania, opisać się nie dającego, ludzie ładują wozy, rzucają meble jedne na drugie, bezładnie, nie zważając na to co się łamie, co się rozpada. Na górze przez okno, kobiety podają ostatni materac, kolebkę wyrzucają, o której już zapomnieć miano. Spowinięte dziecko w tej kolebce przywiązują i zawieszają w górze wozu pomiędzy sterczącemi nogami stołków i stołów powywracanych. Na innym wozie z tyłu do wielkiej szafy przywiązują starego dziadka-kalekę, którego się zabiera jak rzecz jaką bez czucia i woli. Tam dalej znowu, ci, co wozu nie mają, całe gospodarstwo swoje w taczce przed sobą popychają, inni z tłumokami rzeczy na plecach, inni uciekający z jednym tylko przedmiotem, który im się najcenniejszym wydał, z jakąś parą świeczników, lub zegarem, który jak dziecko do serca tulą... Nie mozna przecież zabrać wszystkiego ze sobą, meble porzucone, co się na wóz nie zmieściły, leżą przy drodze, tłomoki i bielizny, zbyt ciężkie, walające się w błocie. Niektórzy, odchodząc, pozamykali wszystko starannie, zostawiając domy smutne i ponure, z oknami i drzwiami szczelnie pozabijanemi, inni, a tych było znacznie więcej, w pośpiechu i w tej pewności, że czy tak, czy owak, wszystko zostanie zburzone, pozostawiali stare domostwa swoje na rozcież rozwarte. Drzwi i okna szeroko rozwarte okazywały pustkę wypróżnionych izb i te były najsmutniejsze, tym smutkiem strasznym, niby miasta zdobytego, wyludnionego przez strach paniczny. Okropny przedstawiały widok domy te na przestrzał, na wszystkie wiatry rozwalone, z których nawet koty pouciekały, drżąc przed czemś, czego nie wiedziały, a co przecież w powietrzu nad sobą przeczuwały. Co każda nowa wieś, bolesny ten wygląd coraz bardziej ponurym się stawał, liczba wyprowadzających się i uciekających rosła coraz bardziej, a z nią rosła liczba z groźbą wyciągniętych pięści, przekleństw i łez.

Maurycego za serce ściskał ból straszny i rozpacz bezgraniczna, gdy patrzył przed siebie wzdłuż gościńca na ścieżki i pola. Tu, w miarę jak się zbliżali do Belfortu, tłumy uciekających coraz gęstsze i ściślejsze się robiły i stały się niebawem nieprzerwanym szeregiem. A!... biedni ludzie, którym się zdaje, że znajdą bezpieczne schronienie pod murami twierdzy!...

Wśród tego chaosu mężczyzna popędza batem konia, kobieta idzie za nim, ciągnąc za sobą dzieci... Rodziny całe śpieszą, pochylone pod ciężarem dobytku swego, który unoszą, gonią się i gubią wśród białością oślepiającej drogi, rozpalonej w promieniach ciężkiego jak ołów słońca. Wielu pozdejmowało buty i trzewiki i idą boso, byle iść prędzej, matki ledwie na wpół ubrane, nie wstrzymując śpiesznego kroku, dają piersi dzieciakom, łzami zalanym.

Twarze wystraszone oglądają się za siebie, ręce dzikie jakieś gesty w powietrzu czynią, jak gdyby chciały zamknąć horyzont przed tym podmuchem paniki!...

godzin po uroczystościach, które zazwyczaj wywołują gorętsze objawy. nie widzimy już ani śladu czynu, ani iskierki zapału. Apatya ogarnęła nas znowu, opuściliśmy jak przedtem ręce, biadając na kiepskie czasy i spodziewając się, że może będzie lepiej.

Nie tu miejsce wykazywać, ile ciężkich ponieśliśmy strat, wskutek takiego biernego zachowania się względem swojskiego piśmiennictwa i rodzimej sztuki. *Facta loquuntur.* Wystarczy, jeśli powiemy, że w ostatnich tygodniach, właśnie w chwili bratania się z Czechami, niedołęstwo nasze zadokumentowane zostało nader wyraźnie i dobitnie.

Czesi dali nam budujące przykłady, jak dążyć należy do odrodzenia narodu, jak się popiera to, co swojskie, narodowe — a my, niby na urągowisko własne, odpowiedzieliśmy im pogrzebaniem kilku pism, między innemi „Przewodnika bibliograficznego“ (po 15 latach istnienia) i skompromitowaniem sztuki polskiej na wystawie międzynarodowej w Wiedniu.

My pism mamy za wiele! — wołają jedni; nie czytamy książek, bo nie mamy za co je kupić, a zresztą mało one nas obchodzą — mówią drudzy. Ztąd rezultaty oczywiste: ograniczenie dorobku umysłowego, zredukowanie prasy do znaczenia reporterskiej bibuły, a nawet zamknięcie pisma, które podawało światu do wiadomości, w formie suchych notatek, najświeższe objawy polskiej myśli we wszystkich dziedzinach wiedzy.

Drugim skandalem, którym mogliśmy się „popisać“ przed Czechami jest — polski oddział na wiedeńskiej wystawie, gdzie sztukę naszą reprezentować mają pp. Reszkowie i p. Sembrich w operze: „Romeo i Julia“. Tyle polskiej opery i polskiego dramatu!

Nie czynimy nikomu zosobna zarzutów — odnoszą się one bowiem do wszystkich członków komitetu, który swą niezaradnością i brakiem taktu spowodował rozwiązanie lwowskiej komisyi artystycznej. Dziś już zapóżno naprawiać błędy. Zbłaźniliśmy się i tyle.

Pismom wyprawiamy pogrzeby, sztukę sami kompromitujemy na wystawach — zostaje jedyna otucha w szkapach, któremi się w bm. mamy pochwalić przed gronem „znawców“ na krakowskich i lwowskich wyścigach: Bodajby szkapiny dopisały!

* * *

Znany fejletonista i powieściopisarz, Bolesław Prus, poświęca następujące uwagi sprawie Matejkowskiej i działowi polskiemu na wiedeńskiej wystawie:

„Odbywa się teraz w Wiedniu wystawa teatralna. Na wystawach przemysłowych, hygienicznych, optycznych, elektrycznych, nie widywano nas w Europie; rzecz naturalna: nie zajmowaliśmy się bowiem hygieną, ani ani elektrycznością, tylko „sztuką“. Ale dziś w Wiedniu odbywa się właśnie wystawa sztuki i to tej ukochanej, wychuchanej, oblizywanej przez nas „sztuki teatralnej“.

Gdzież jest w Wiedniu ta nasza sztuka?... Ci nieśmiertelni kompozytorowie, niezrównani dramatopisarze, ci wielcy aktorzy, którym wyprzęgamy konie z powozu i stawiamy pomniki?...

Czesi, których uważaliśmy za chamów, ponieważ nie mieli: Szopena, Fredry i Żółkowskiego, pojechali do Wiednia i — zaimponowali swoją operą, dramatem, aktorami, wymusztrowaniem chórów... A my co?..

Nie zdobyliśmy się nawet na pokazanie tych średnich arcydzieł, jakie posiadamy.

Nie zrobi się dziury w niebie, gdy wiedeńczycy nie będą mieli sposobności ziewać na naszych przedstawieniach, jak to robili na okrzyczanej „komedyi francuskiej“. Ale niechże choćby teraz skończy się ta szkaradna blaga, że my „kochamy i rozumiemy sztukę“. My nic nie kochamy i nic nie rozumiemy, tylko — powtarzamy za panią matką pacierz, który nam od 20-tu lat plecie jakaś „krytyka artystyczna“, niepotrzebnie zabierająca miejsce ogłoszeniom w gazetach.

Tak jest z wystawą. A cóż się robi z „przedstawicielami“ sztuki?

Matejko należał u nas do artystów, w obec których „krytyczne“ fagasowstwo dosięgało — rzeczywiście — gigantycznych rozmiarów. Nazywaliśmy go „mistrzem nad mistrze“, obcałowywaliśmy jego rękawy, jeżeli nie nogawice, dawaliśmy mu berła, zbieraliśmy jego pantofle do muzeum i t. d.

Po za tą marną maskaradą kryła się realna nieuczciwość. Każdy bowiem obraz Matejki (a bywały między niemi i słabe), bez różnicy nazywaliśmy arcydziełem, mącąc głowy młodym malarzom, którzy mogli uwierzyć, że malarstwo obywa się np. bez perspektywy.

Bądź co bądź, ubóstwialiśmy Matejkę za życia, jak gnijący Rzym ubóstwiał swoich cezarów. Postawiliśmy go tak wysoko nad ogółem, że gdyby przyszła Matejce fantazja zażądać od Krakowa Sukiennic, Kraków miał obowiązek oddać Sukiennice, temu „mistrzowi nad mistrze“, obdarowanemu bodaj aż dwoma berłami na jednej honorowej kolacji.

Trzeba przyznać, że fantazja Matejki była o wiele skromniejszą: zażądał od miasta tylko grupy gruzów i — tych mu odmówiono... Kraków, swojemu „królowi“ odmówił resztek walącego się szpitala!

Co się tu zmieniło w ciągu kilku lat, które oddzielają nas od „aktu wręczenia berła?“.. Wartość Matejki nie zmniejszyła się ani na jotę: jego obrazy zostały tem, czem były; jego stanowisko w malarstwie nietylko nie zniżyło się, ale zostało dotychczas niezajętem. Akurat jest taki wielki dziś, jak i przed laty.

Więc co?...

Ha! zmieniła się moda, a dzisiejsi radni Krakowa wyżej stawiają kwestję hygieny czy bezpieczeństwa, aniżeli „wymagania sztuki“.

O wy, jutrzejsi „genjusze“, przyszli „mocarze“ pędzla, smyczka i pióra, nie ufajcie tej bezwstydnej, tej nędznej reklamie, która wam kiedyś zechce wieńczyć nietylko głowy ale nawet stopy wawrzynami z bibułki... Bo ta reklama, niedość że nie poprze was przed Europą, ale nawet odmówi wam murów szpitalnych, jeżeli nie... łóżka w samym szpitalu..

Historja teatralnej wystawy w Wiedniu i świętoduskich gruzów w Krakowie, stanowczo tego dowodzi.

Całe szczęście, że na tym padole jest rzecz wyższa od reputacji — charakter, i trwalsza od reklamy — użyteczność. A dru-

---

Włosy potargane, ubranie na ciało bezładnie narzucone jedne na drugie. Tam jakiś dzierżawca ze wszystkimi sługami i parobkami dąży na przełaj przez pole, pędząc przed sobą cały swój inwentarz, barany, krowy, woły, konie, które z obór i stajen batami wygnano.

Ci dążą do wąwozów, ci na wyższe płaskowzgórza, tamci do lasów najgęstszych uciekają, a podnosząc ze sobą pył wielkich wędrówek, jak ongi przed wiekami ludy całe, ustępujące miejsca barbarzyńcom, przychodzącym od wschodu i południa. Idą teraz żyć pod namiotami, w jakiemś wgłębieniu skał, tak głęboko w lesie, tak daleko od drogi, że żaden żołdak wrogi nie ośmieli się do nich zbliżyć i dostąpić.

I kłęby dymu i kurzu, które ich otaczały i za niemi biegły, niknęły po za ostatniemi kępami sosen, a razem z niemi ginęły też i dźwięki, coraz bardziej słabnące, ryku bydła, i stępu koni, podczas gdy na drodze szeregi wozów i tłumy pieszych ciągnęły się dalej, przeszkadzając pochodowi wojsk, tak gęste pod murami Belfortu i płynące tak nieprzepartym w swej sile strumieniem, że kilkakrotnie wojsko zatrzymywać się musiało.

Wtedy to na jednym z takich chwilowych postojów Maurycy był świadkiem sceny, której pamięć pozostała mu na zawsze, jak ból policzka otrzymanego i niepomszczonego.

Na skraju przy drodze stał sobie domek odosobniony, zapewne mieszkanie jakiegoś biednego włościanina, którego skąpe zagony za tym domkiem pewnie się ciągnęły. Chłop ten nie chciał porzucić swego pola, przyrosły doń zbyt głębokiemi korzeniami i zostawał, nie mogąc się oddalić bez pozostawienia tu na miejscu szmata ciała swego i duszy swojej. Można go było dojrzeć z drogi. Siedział w izbie dolnej, niskiej, jakby złamany na ławie, próżnem okiem bez wyrazu patrząc na przejście żołnierzy, których odwrót dojrzałe jego zboże na pastwę wroga oddaje. Stojąca obok żona jego, młoda jeszcze, trzymała na ręku dziecko, drugie zaś wieszało się u jej sukni i wszyscy troje razem płakali i rozpaczali. W tem nagle na tle drzwi gwałtownie rozwartych ukazała się stara babka, kobieta bardzo wiekowa, wysoka, sucha, z wychudzonemi rękami, podobnemi do sznurów w węzły powiązanych, któremi machała z wściekłością. Siwe jej włosy, wymykające się z pod czepka, rozwiewały się dokoła jej głowy wychudzonej i kościstej, a wściekłość jej była tak wielka, że wyrazy, które wykrzykiwała, więzły jej w gardle i wydobywały się zeń niewyraźne, jakby w czkawce przedśmiertnej.

Z początku żołnierze śmiać się zaczęli; zabawną miała „facyatę“ poczciwa starowina!... Szalona!... Potem jednak słowa coraz wyraźniej dochodzić ich poczęły.

— Łotry,... zbrodniarze!... zbóje!... tchórze!... podli!...

Głosem coraz bardziej przejmującym, coraz ostrzejszym plnła im w twarz podłość i tchórzostwo ile jej sił starczyło. I śmiechy ucichły, jakieś dziwne zimno przejęło szeregi Ludzie pospuszczali głowy, starali sie patrzeć gdzieindziej.

— Podli!... tchórze!... nikczemni!... podli!...

W jednej chwili wydała im się jakby jeszcze większą. Podniosła się na palce, tragicznie wychudła, łachmanem jakiejś starej sukni półodziana, olbrzymio długą rękę swoją wodząc od wschodu do zachodu, z gestem tak potężnym, że całą przestrzeń podniebieską wypełniał.

— Podli!... przecież Ren nie tu!... Ren jest tam, tam!.. tam!... podli!... nikczemni!...

(C. d. n.).

gie szczęście, że ludzie użyteczni i mający charakter istnieją u nas, choć nazwiska ich wymawia się półgębkiem, w tej dziwnej epoce, kiedy fortepian zagłuszył rozsądek, a myśl publiczna zgubiła się w fałdach teatralnych spódnic".

W zapatrywaniach swych na sprawę zatargu Matejki z Radą m. Krakowa — zgadza się — jak widzimy — w zupełności autor „Lalki" z poglądami Kaz. Bartoszewicza, które pomieściliśmy w nr. 11 „Myśli".

Tę samą opinię wyraża redakcya „Kraju" petersburskiego i „Wędrowiec", który podaje zarazem rycinę, wyobrażającą burzący się kościół św. Ducha. Jak widzimy w zapatrywaniach za zatarg Matejki nastąpiła reakcya, na niekorzyść Rady miejskiej, której pierwszym w prasie polskiej wyrazem był fejleton K. Bartoszewicza.

SŁOŃCE.

Jaskrawe słońce się wynurza,
Brzmi z wiatrem pieśń o wiośnie;
Ze snu zbudzona patrzy róża
W płomienny znak na niebie;
Patrzy i szepce doń miłośnie
— „O, słońce, kocham ciebie!"

Mizerny krzaczek niezabudki
Wzrok topi swój w podziwie...
Kwiat jego drobny, żywot krótki,
A jednak blaski, złote gońce
Nie pominęły go, więc tkliwie
Szepce: „Ja czczę cię słońce!"

A obok kwiatów człek zbolały
W dal idzie z swą żałobą;
Marzenia jego się rozwiały,
Jak ranna mgła na niebie,..
— „O, słońce, woła, gardzę tobą;
Słońce, przeklinam ciebie!"

St. Rossowski.

LISTY PARYSKIE.

(Nowe kierunki w dramacie francuskim).

II.

W poczet dzieł zapowiadających nową społeczną epokę dramatu zaliczyć trzeba jeszcze utwory Henryka Becque'a. Pod względem artystycznym walczą one o lepsze z pierwszemi arcydziełami spółczesnej Francyi, pod względem myśli przerastają je o głowę. Jak białe marmurowe stale wznoszą się one wysoko ponad otoczenie.

Na każdem z nich głęboko wyryte piętno społeczne. Henryk Becque, socyalista z przekonań, długoletni bojownik przeciw cesarstwu Napoleona III., redaktor potężnego w swoim czasie, radykalnego dziennika „Lud" (le Peuple) czuł za wiele krwi postępowej w swych żyłach, aby biorąc rylec Melpomeny do ręki i nim nie wyżłabiać w wosku scen ponurych, posępnych, pobudzających do refleksyj. Kiedy jeszcze w literaturze dramatycznej wszechmocnie rządziły miłostki i deklamacye, on już obracał się ku tematom życiowym, prawdziwym, i co więcej, tematów tych nie wybierał w celu rozkoszowania się brudami, lecz w celu oddziałania nimi na myśl.

Upadały więc jego dramaty jeden po drugim, Ogół ich nie rozumiał, a krytycy teatralni, sami bardzo ciaśni i nie posiadający żadnego pojęcia o stosunku sceny do społeczeństwa, także nie wiele z nich uchwycili. Po każdem też przedstawieniu, Becque otrzymywał, jakby uderzenie w głowę, maczugą. Ogłuszało go ono, oszałamiało, ale po jakimś czasie zawsze podnosił się. Jak trawa zgnieciona kołami, długo chylił głowę ku ziemi, potem siły się budziły. Ogłaszał nowy dramat i — nowy cios otrzymywał. Nie dziw, że wobec tego nie wiele napisał. Teraz od czterech lat już niczego nie dał nowego, pracuje jednak nad sześcioaktowym utworem „Błazny" (Polichinelles), zaludnionym czterdziestu osobami i skierowanym jak zawsze przeciw ustrojowi społecznemu.

Pierwszy dramat: „Michał Pauper" wystawiony na koszt własny autora w r. 1871 upadł, tak samo jak dana w Vaudevile'u, komedya: „Uprowadzenie". Becque przez siedem lat milczał, w 1878 r. dopiero przedstawiono jego głośną jednoaktówkę: „Czółenko". Zdobyło mu ono pewien poklask; to pobudziło Bequ'a zdaje się do żywszej działalności pisarskiej, w krótszych bowiem niż dawne przeciągach czasu wykończył dwa swoje arcydzieła: Kruki i Paryżankę. Mierne powodzenie jednego i drugiego zniechęciło go znowu na czas długi.

Po Czółenku i Paryżance wtłoczono go w kadry naturalistów; było to o tyle słusznem, że kierował się on istotnie w swych dramatach metodą naturalistyczną. Ale ów naturalizm wcale nie stanowi charakterystycznej jego cechy, w dramatach jego bowiem znajdujemy inny rys jemu właściwy. Oto spotykamy się w nich z poraz pierwszy dotychczas przeprowadzonem w dramacie odpowiedniem scharakteryzowaniem świata burżuazyjnego.

Nie ozłocona u niego burżuazya sympatyami, nie przestawiona jako warstwa wesoła, bawiąca się, trwoniąca czas na miłostki. Jej rysy nie szczere i otwarte, lecz pochmurne, pełne fałszu i chciwości. Jak dusiciele czatują przedstawiciele trzeciego stanu na mknące poprzez ich siedliska ofiary, jak kruki rzucają się stadem tam, gdzie czuć padlinę. Jeśli potrzebują pieniędzy — sprzedają się posażnym babom, jeśli chcą zaszczytów, prostytuują swe żony. Frymarczą wszystkiem i przyjaźnią i miłością, godnością ludzką i ideą. Iskra szlachetności rzadko tli się w sercu burżuaza, rozpala się ona częściej tylko w kochającej piersi matki.

W Michale Pauperze nie występują jeszcze tak wyraźnie cechy Becque'owskie. Robotnik, który własną pracą wzbił się nad towarzyszy i doszedł nareszcie do tego, że ujął ster fabryki w swe ręce, prosi dawnego swego pryncypała o rękę córki, otrzymuje ją, lecz wnet dowiedziawszy się, że jego małżonka przed ślubem już oddała się komu innemu, pogrąża się w rozpacz, rozpija się i umiera w delirium tremens. Analiza psychologiczna jest tu przeprowadzona z wielkim talentem, ostrze myśli jednak poszczerbione. Autor chciał przestawić szkodliwość zetknięcia się warstwy robotniczej z burżuazyjną, chciał ostrzedz ją przed rakiem, toczącym organizm jej poprzedniczki na arenie dziejowej. Uchwycił jednak rys nieodpowiedni. Co więcej napotyka się on nie tylko śród warstw średnich. lecz i śród niższych, w tych ostatnich nawet znacznie więcej. Michał Pauper jako człowiek mógł uledz rozpaczy, dowiadując się, że kobieta, którą on kocha, należała do kogo innego, jako przedstawiciel klasy społecznej, jednak nie mógł izolować dotykającego go faktu wyłącznie w warstwie burżuazyjnej.

W następnych dopiero utworach uchwycił Becque istotne cechy warstwy burżuazyjnej. Przedstawił ją zgodnie z prawdą poraz pierwszy w Czółenku.

„Navette" posiada motyw prosty: półświatówka jak tkackie czółenko przebiega z ręki do ręki. Po jednym kochanku przychodzi drugi, po drugim trzeci. Literaccy wielbiciele zwierzęcości zatrzymywaliby się byli z przyjemnością nad przygodami jej bohaterki. Becque skierował wzrok swój na związek przyczynowy, istniejący między istotą społeczeństwa wyzyskowego a naturą Antoniny. Jakby przeprowadzając tezę determinizmu przedstawił ją niejako osobistość działającą z pobudek do pewnego przynajmniej stopnia dozwalających przypuszczać istnienie wolnej woli, lecz jako wytwór środowiska kapitalistycznego, rozwijającego w całem społeczeństwie żądze: pieniędzy i zysków. „Czółenko" jest utworem jednoaktowym, ale wystarczy tego jednego aktu na zaobserwowanie zepsucia i upadku, jakie wsącza nasz ustrój w umysły ludzkie.

W „Uczciwych żonach" skoncentrowane są cienie na prostytuującym się mężczyźnie. Salonowy lew Lambert odepchnięty przez poczciwą panią Chevalier, poślubia obojętną dla niego, lecz bogatą dziewczynę — dlaczego? bo chce mieć jeszcze więcej niż ma pieniędzy. Zwykły to, lecz jak odrażający typ!

„Kruki" roztaczają przed nami zupełniejszy jeszcze obraz nadużyć klasy kapitalistycznej. Fabrykant Vigneron, trochę zadłużony, umiera, jego „przyjaciele": dawny wspólnik Teissier i notaryusz Bourdon rozszarpują jego mienie. Kość po kości, muskuł po muskule wynoszą z leżącej przed nimi padliny ekonomicznej. Sprzedają najpierw ziemię, potem przykładają rękę do fabryki. Pochwyciwszy i fabrykę, rzucają się na dzieci Vignerona. Teissier przeszedł już lat sześćdziesiąt, ale że podobała mu się młoda Marya, więc zagraża matce bankructwem pozostałego przedsiębiorstwa i steroryzowawszy w ten sposób całą rodzinę, otrzymuje rękę idącej dla swego rodzeństwa na ofiarę panny. Co za straszna scena w czwartym akcie: Teissier całuje Maryą, ona cała czerwieni się i drży. Nie czerwień się mówi siwy oblubieniec: taki już u nas zwyczaj, nie rękę podawaj mi już, lecz twarz". Co musi dziać się w jej duszy!

Nietylko Teissier i Bourdon przedstawiają ujemne typy w „Krukach", wszystkie inne, prócz rodziny Vignerona, są brudne i odrażające. Z siostrą Maryi Judytą zaręczony jest muzyk Merkeus, dowiedziawszy się jednak o bankructwie przyszłej teściowej, opuszcza narzeczoną. Druga siostra Bianka ma iść za Jerzego de Saint-Gelis zaraz po śmierci ojca; kiedy zaciemnia się horyzont Vigneronów, pani Saint-Gelis przybiega do nich i oświadcza, że syn musi zerwać stosunki. Jedna tylko namiętność, jedna żądza kieruje krokami całego tego społeczeństwa: chciwość, pożądliwość.

„Paryżanka" porusza typ kobiety zamężnej, cynicznej, w razie potrzeby ze zgodą nawet męża korzystającej ze swych wdzięków. Jej treścią uprzykrzenie sobie przez panią Klotyldę jednego kochanka, wybranie drugiego, uprzykrzenie i tego i powrót do pierwszego. Ale niezrównanie charakterystycznem jest przedstawienie stosunku tej żony do męża.

Ledwie raz czy dwa razy dowiadujemy się, że Klotylda nie jest wolną kobietą, mąż jest tutaj zupełnie odrębnie żyjącym manekinem, w swoje obszary wychodzącym na łowy. Żona poluje w jednej stronie, mąż w przeciwnej. Połączyli się zaś oboje spólnem imieniem dlatego, że tak jednemu i drugiemu wygodniej.

Gdyby z bieżącej epoki pozostały li tylko utwory Becque'a, wystarczyłyby one potomności do wyrobienia sobie pojęcia o społeczeństwie burżuazyjnem. Ten przedmiotowo przedstawiający je dramaturg położył wielkie zasługi około skierowania na właściwe pole dramatu spółczesnego i kiedy w niedalekiej przyszłości wypełnią się w kwiat postępowe dążności w sztuce dramatycznej, krytyka wyznaczy mu takie same miejsce zwiastuna myśli nowej w dramacie, jakie wyznaczyła ongi krytyka naturalistyczna Henrykowi Stendhalowi w powieści. W. Bugiel.

DZIWACZKA.

NOWELA.

W obszernej sali szpitala Charité przy łóżku N. 9. stało młode i ładne dziewczę. Zwoje lnianych, jasnych włosów okalały ściągłą i bladą twarzyczkę; w modrych, łagodnych oczach płynęło nieprzebrane morze uczuć. Stała, wpatrzona w twarz zgasłego przed chwilą rodaka, skamieniała z bólu, szarpana tysiącem zapytań, na które czekała napróżno odpowiedzi od siebie i tego, co przed chwilą zerwał pęta życia i poczuł balsam spokoju w nieukojonych swych ranach.

Dreszcz zimny ją przejmował. Tam daleko czekała może na niego matka kochana, siostry, młodzi bracia, a on spał wiecznym snem tu: na obczyźnie. Przypomniała sobie, jak to kiedyś ona będąc dzieckiem wracała z miasta ze szkoły do domu, jak ojciec wnosił ją w swych objęciach do pokoju, jak dla młodszej dziatwy stroiła choinkę w złote wstęgi, jarzące się świece i posrebrzane orzechy. W jej wyobraźni jasno zarysował się biały, mały domek, otoczony modrzewiami i sosnami, przez chwilę zdawało się jej, że oddycha tą wonną atmosferą ciepła rodzinnego, że słyszy szum lasów ojczystych. Lecz znowu rzuciła okiem na zmarłego rodaka i znów obudziły się w jej duszy myśli o nim.

Kto wie, czy ten oto umarły nie pozostawił dzieci i żony, które napróżno go oczekują z wieczerzą wigilijną, czy nie z tęsknoty to za swoimi dokonał on tu dni ostatnich. A może przeciwnie, może... od powicia nie zaznał ani jednej chwilki jaśniejszej, może nie spotkał ani jednego serdecznego uścisku dłoni, może przez całe życie dźwigał krzyż samotnej doli. Może to marzyciel, zapatrzony w słońce wielkiego celu, nie odczuwający burz i niepogody życia, który teraz leży pokonany i zwyciężony jak wielki bojownik, co padł o kilka kroków od ostatniej reduty ostrzeliwanej fortecy? Kto on? pytanie to obiegało wszystkie jej komórki mózgowe, wypierało fale innych wrażeń. Kogo zawiadomić o jego zgonie? Kogo pocieszyć po ego stracie?

Pospiesznie wyszła do biura, by się dowiedzieć, gdzie mieszkał, zanim dostał się do tego przybytku smutku i bólu?

II.

W szpitalu nie wiedziano, kto on. To był „Polonais", przywieziono go z hotelu chorego, bez pamięci. Przez cały ciąg choroby nie odzyskał przytomności, straszny tyfus zabił go. Lecz ona nie zadowolniła się taką odpowiedzią. Nie czując głodu, ni zimna obiegała wskazywane ulice Paryża, odsyłana z hotelu, w którym mieszkał, szła do apteki, w której kupował lekarstwa i miał, jak powiedziano jej, znajomego praktykanta, ztamtąd dążyła w innym kierunku i tak bez końca. Ale wysiłki były próżne. O dwunastej wyszła ze szpitala, teraz biła piąta, a ona prawie nic nie dowiedziała się.

Szary zmrok począł pokrywać domy i gmachy, ostatnie promienie zachodzącego słońca wszczęły walkę ze światłem przybywającego księżyca, spuszczały się powoli rzucając za sobą krwawą, czerwoną łonę. Nareszcie i ta znikła.

Studentka zmęczona padła na pierwszą ławkę i pogrążyła się w otaczającą ją ciszę. Wieczór robił się prześliczny. Ziemia spała, otulona łabędzim puchem śniegu, czarne kominy domów rysowały się na tle pogodnego nieba, jak cienie zakapturzonych rycerzy, miliardy gwiazdek mrugały złotemi oczkami, promienisty księżyc zalewał srebrem dachy kamienic. Tu i owdzie płynęły po niebie chmurki kłębiąc się i snując niby dymy ofiar palonych przez ziemię w cześć jej małżonka, majestatycznego poważnego nieba.

Przechodnie przemykali się i znikali spiesznie. Całe miasto owiane było atmosferą świąteczną, uroczystą. Tchnienie święta unosiło się nad temi gwarnemi ulicami, nad tymi szerokimi bulwarami, nad zalanymi asfaltem placami. Sekwana drzemała, żelazne mosty oddychały spokojnie, kamienne statuy wznosząc dumnie głowy, stały jakieś rozmarzone, zamyślone. Koiła ją ta cisza, pragnęła zostać dłużej, choćby do rana, tu jej dobrze było, wprawdzie ból niewysłowiony, straszny rozpierał jej piersi, ale był to ból cichy, równomierny i dawny, dawny....

Już przeszła gorączka niemocy w obec śmierci, spokój otulał białym swym płaszczem jej duszę. Ale znowu przypomniał się jej ów biedny umarły, nieznany nikomu, nawet w ostatniej chwili nie mający przy sobie kochającej ręki, coby mu przywarła powieki. Gdzie poszukać ludzi, coby się dowiedzieli czego o nim, coby się zajęli jego pogrzebem. Gdzie udać się?

Wtem myśl błyskawicą przecięła jej umysł. Zapomniała już była o tem. Dziś była wspólna wieczerza, dziś zbierali się jej koledzy i koleżanki, aby podzielić się wrażeniami i uczuciami, aby przenieść się myślą do ojczyzny. Pójdzie do nich, poprosi ich o współudział.

Podniosła się i poszła.

III.

Weszła do polskiej restauracyi, w której zamówiono wspólną wieczerzę. Salon mieścił około 30 osób; owiała ją duszna atmosfera; dym papierosów rywalizował tam z parą potraw. Gwarno tu było i wesoło, zebrani rozmawiali podzieleni na grupy, lecz ona do żadnej przymknąć nie chciała, czy nie mogła. Boleśnie jej było patrzeć na szczęśliwych, gdy miała piersi łez pełne, patrzeć na uśmiechy i nie módz się śmiać.

Tęsknota ją obejmowała. Gdybyż znalazła się w białym domku, w obszernej, dębowej sali, z zieloną choinką w rogu, przy stole pokrytym sianem, rzuciłaby się w objęcia matki, padłaby w nie jak małe dziecko i płakałaby, płakałaby długo. I może wypłakałaby ten ból, co się rozjątrzał przy każdym jęku uciśnionych, przy każdym brzęku krwawych kajdan. Lecz tu nie chciała rzucać mgły smutku na jasne i pogodne twarze, zaciskała zęby, nie mówiła nic, ale też i nic nie jadła. To zwróciło uwagę sąsiadki. Głowa mię boli, brzmiała odpowiedź.

Na drugim końcu spotkały ją za to ironiczne spojrzenie i szepty. Tam siedziała jedna z studentek, która również chodziła do Charité. Ach żal Ci tego zmarłego, zauważyła. To był jakiś wygnaniec z Prus, żył tu i za zdrowia, mówią, pił dużo. No już trzeba dziwactwa, aby zająć się takim opojem.

Wszystkich oczy zwróciły się na nią. Ona wytrzymała ten wzrok dumnie, połknęła gorzkie słowa. Kto wie, dlaczego pił? Może chciał zagłuszyć ryk okropnej boleści, wściekłości, rozpaczy, może kochał ludzi każdym fibrem swej duszy, a w zamian darzono go tylko czarną niechęcią. Może chciał cały świat ogarnąć swą miłością, ogrzać swem uczuciem, a on go odtrącał od siebie, mroził, oziębiał. I w sercu jego otworzyła się jedna, wielka rana, rwąca, paląca...., znieczulał więc ją trunkiem, jakby kokainą. Któż wie, dlaczego pił?...

Lubiała tych wszystkich towarzyszy doli i niedoli, lecz dziś bardziej, niż kiedykolwiek uwydatniła się różnica między jej wrażliwą naturą a nimi. Rano patrzyli w oczy śmierci, szli na dysekcye, wieczorem z całą swobodą bawili się. Ona całemi dniami i nocami przetrawiała raz doznane wrażenia i nie mogła się z nich otrząsnąć. Fale nowych wrażeń wprawdzie przybywały, jednak dawnych nie wypierały, pokrywały ją tylko warstwą osadu. Dość było jednego uderzenia, by rozbrzmiały znowu strasznem, bolesnem echem. Jak dziwną była dla otaczających, tak nie mogła zachować spokoju wobec ich obojętności. Dziś, kiedy pod wpływem śmierci, pod tchnieniem święta zespolićby się chciała, czuć, że nie jest tu samą i obcą, obojętność ich zamrażała słowa na ustach i przygniatała ją zimną bryłą lodu.

Wieczerza się skończyła, w sąsiednim pokoju rozbrzmiały pierwsze akordy skocznego walca, każdemu tonowi jej dusza wtórowała wewnętrznym jękiem. Za jej miłość do ludzi zwano ją dziwaczką. Tak, co rzadziej spotykamy, wciskamy w ramy ekscentryczności.

Rzucono się z całą werwą i siłą młodości do tańca. Ona skorzystała z tego i wysunęła się niepostrzeżenie. Cisza nocna wzięła ją w swe objęcia, ale i tu jeszcze jakby echem odbijało się o jej uszy słowo: dziwaczka.

IV.

Na drugi dzień Bożego Narodzenia wynoszono ze szpitala białą trumnę. Włożono ją w czarny karawan, konie ruszyły. Na trumnie nie było ani jednego wianka, ani jednej żałobnej wstęgi. Tylko mały bukiecik nieśmiertelników umieściła w wezgłowiu przychylna dłoń.

Wiatr wył żałośnie, śnieg padał grubemi płatkami. Za trumną szła tylko jedna, czarno ubrana studentka. Zmęczenie ją opanowywało, ale nie poddawała mu się i chwiejnym krokiem podążała za wozem żałobnym. Jej myśli leciały do ojczyzny, do rodziny tego, co wszystkie rachunki z ziemią pokończył. Może ją wyszuka, doniesie gdzie leży, pocieszy, że nie był w ostatniej chwili sam. A może lżejszą mu będzie ta obca ziemia, gdy łzę nad jego grobem uroni?

Paryż, 1892.

Melania Lipińska, stud. med.

Międzynarodowa Wystawa w Wiedniu.

LIST II.

(Z dziejów muzyki)

Oddział historyi muzyki zajmuje wielką część galeryj ciągnących się naokół rotundy. O Grecyi i Rzymie nie wiele da się powiedzieć. Muzyka tych krajów znana nam tylko jest z opisów, z dzieł teoretycznych. Pierwsze zabytki spisanej muzyki chrześciańskiej pochodzą z czasów Grzegorza Ś., który jest twórcą liturgii rzymskiej i cały ówczesny, godny przechowania, materyał zebrał i od zguby uratował wciągnięciem do księgi, zwanej Antiphonarium (od antiphonii t. j. śpiewów wzgłaszanych na przemian przez dwa chóry metodą arcybiskupa medyolańskiego Ambrożego). Z greckich czasów zachował się tylko tekst i chór z „Orestesa“ Euripidesa, na ułamku papyrusu arcyksięcia Rainera. Antyphonar Grzegorza Św. pisany był w „neumach“.

Próby tego pisma widzimy w manuskryptach. Są to haczki, punkty, kreski i inne drobne znaki, które już to pojedyncze wyrażają tony, już to kilka tonów razem. Z tych znaków powoli wytwarza się przez spisywanie ich na liniach, zrazu na dwóch, potem na czterech, siedmiu, wreszcie na pięciu dzisiejszy nasz system. Z wynalazkiem druku jeszcze nie zmienił się od czasu sposób reprodukcyi nut.

Widzimy kancyonały, w których linie są drukowane i słowa pod liniami a nuty pisane. Atrament, którego używano do tej arcy żmudej pracy pobladł w ciągu wieków i wypłowiałe nuty mocno odbijają od czarnych liter druku. Potem używano rodzaju patron do wyciskania nut na drukowanych liniach, jakby pieczątką. Ale ten sposób niemniej był żmudny a przytem niepewny. Prawdziwym tedy postępem było drukowanie nut z drzeworytów. Rozumie się, że takie reprodukcye były bardzo drogie. Psalmy pokutne Orlanda Lassa, nadwornego kapelmistrza monachijskiego († 1595) w świetnem — co prawda — wydaniu kosztowały 18,000 złotych! Pod koniec 15 wieku Ottavio Petrucci, rodem z Fossenbrone, w państwie kościelnem, wynalazł druk ruchomemi typami metalowemi. Pierwsze opus pojawiło się w r. 1501 i zawiera 96 pieśni na trzy i więcej głosów, wyjętych ze zbiorów hollandzkich kompozycyj. W Niemczech niebawem naśladowano sposób drukowania Petrucciego, wystawa zawiera pierwsze druki angielskie, norymberskie, praskie i inne.

Wieki średnie są właściwie epoką wyłącznie kościelnej i to — za wyjątkiem organów — wokalnej muzyki. Zaznaczyć choćby tylko w najogólniejszych rysach rozwój tej sztuki jest bardzo trudno w niniejszym artykule. W Palestynie dosięgnął styl tej muzyki kościelnej zenitu; w Orlandzie Lasso (Roland de Lattré) sztuka zawracać zaczyna na nowe drogi i wyraża ona z wielką dramatycznością świeckie także uczucia.

Ostatni kompozytor zajmuje bardzo wielkie miejsce na wystawie. Widać świetne wydania jego kompozycyi: psalmy, madrygały, pieśni.

Świetnie reprezentują się Czechy w muzyce 15 go i 16-go wieku. Antyphonar króla Macieja Korwina, wykonany przepysznemi inicyałami, zwraca na siebie powszechną uwagę. Niemniej piękne są kancyonały hussyckie, śpiewy braci czeskich, zwłaszcza ogromnej wielkości antyphonar Jana Ledižara z Syonu (1551), w którym wyczytałem czeskie officium „o najsweteysi Troyci“. Barwne ilustracye tych antyphonarów na złotem tle daleko jaśnieją i ściągają oczy zwiedzających ten oddział zbiorów. Z czysto niemieckich muzyków: minnesaengerzy i meistersaengerzy w znakomitych reprezentowani wydaniach — zasługują na wzmiankę. Jeden z nich: tyrolski pieśniarz Oswald von Wolkenstein przedstawia się nam na tytułowej karcie swojego tomu bardzo wielkich rozmiarów. Dobroduszna to twarz ślepego na jedno oko poety — śpiewaka.

Szybko przechodzimy obok tych zbiorów większą wreszcie mających wartość dla archeologa, niż dla muzyka.

W szafach tuż obok są cenne wystawy starych instrumentów muzycznych; można studyować rozwój budowy skrzypiec i gitary i cytry i narzędzi dętych i fletu. Jest to dziedzina zupełnie obca dla większej części widzów, strona czysto techniczna muzyki. Wchodzimy do oddziału wystawy oper z 17 wieku. Berlińska biblioteka przysłała jedną z pierwszych oper: Peri'ego Jakóba „Euridikę“, napisaną w r. 1600 na uroczystość zaślubin Maryi Medici z królem francuskim Henrykiem IV. Co za przedział wyobrażeń estetycznych od owej pierwszej próby dramatycznej muzyki na większą skalę do dzisiejszych czasów. Wszystko w tej operze śpiewano. Prolog w siedmiu strofach (dziś uwertura) śpiewany był sopranem, wszystkie osoby są nie ludźmi, ale geniuszami, idealnemi tworami wyobraźni. Ich śpiew porusza się w najwyższych sferach kompozycyi. Wyobrażano sobie, że Peri wskrzesił grecką tragedyę muzykalną. Orkiestra tej opery grała za sceną i składała się z fortepianu (klavicembalo), cytry, liry, lutni i skrzypców.

Już druga wystawiona opera „Orfeo“ Monteverdego z r. 1607 pokazuje większe uwzględnie instrumentów i zawiera małe symfonie i ritornelle. Monteverde był jednym z największych muzyków swego czasu a jego scena „walki Tankreda z Kloryndą“ („z Jerozolimy wyzwolonej“) żywem kreśleniem w muzyce tententu koni, chrzęstu szabel i hełmów, starcia się rozpaczliwego i upadku — jest wzorem epokowym, którego wtedy (w r. 1624) nie zrozumiano niestety.

Hamburska opera z końca 17-go wieku znalazła także znakomite miejsce na wystawie. Manuskrypta, partyrury i libreta. Keisera, Jerzego Fr. Händela, Mathesona i Telemana uwidoczniają działalność nadzwyczajną pierwszej stałej opery niemieckiej.

Wiek 18 rozpoczynają dwaj znani twórcy nowoczesnego oratorium: Jerzy Frydrych Händel i Jan Sebastyan Bach. Znaczenie ich w muzyce powszechnie jest znane. Na wystawie reprezentują ich portrety, autografy, rozliczne wydania ich dzieł, bibliografia teoretycznych dzieł o nich. Wiek ten cały zawiera już same znane nam imiona. Spotykamy się tu z portretami, listami, autografowanemi kompozycyami i drukowanemi wydaniami dzieł: Karola Henryka Grauna, Jana Adolfa Hassego, Salienego Alessandra (twórcy uwertury), Salienego współczesnego Haydena, Mozarta i Beethovena, a nauczyciela Schuberta. Jakie wrażenia sprawiały ich utwory — o tem dziś wyobrażenia mieć nie możemy. Nam, którzy patrzymy ze znużeniem ludzi, przesyconych pięknością, albo też jej suragatami na niektóre nawet utwory Mozarta, co nazywamy przestarzałemi opery: „Tytus“ lub „Idomeneo“, niechcącym już grać fortepianowych utworów śpiewaka „Fletu czarodziejskiego“, bo niema w nich karkołomnych figur Lisztowskich — nam zapewne wydałyby się przestarzałemi już opery: Mikołaja Picciniego, sławnego rywala Glucka w Paryżu, którego portret na wystawie widzimy z następującym czterowierszem:

Avec une grace divine
Tour a tour comique et touchant;
S'il est le Molière du chant,
Il n'en est pas moins le Racine.

Niapodobna określić wrażenia, z jakiem wchodzi się do oddziałów, poświęconych: Haydenowi, Mozartowi, Beethovenowi i Szubertowi. Z muzyką tych mistrzów mniej lub więcej każdy z nas jest obeznany. Słyszeliśmy ich pieśni i sonaty, ich opery i symfonie; ich twórczość jest dziś własnością całej Europy, ich życie znane każdemu, kto kiedykolwiek zajrzał do historyi muzyki.

Najszczęśliwszy z nich Hayden, ze swoją pogodną twarzą i pogodną muzyką, człowiek, któremu życie całe uśmiechało się uznaniem i powodzeniami. Oksfordzki uniwersytet mianuje go doktorem muzyki, magistrat miasta Wiednia posyła mu dyplomy obywatela honorowego, jakaś sentymentalna pseudopoetka (Gabryela von Baumberg) poświęca mu całe tomiki wierszy. Wszystko to widać i portrety mistrza i jego rodziny i autografy jego symfonii w D, jego mszy poświęconej Nelsonowi i sławnej „Schöpfung“ („stworzenie świata“, Oratorium).

Jakże odmienny był los „największego syna Austryi“, twórcy opery nowożytnej: Wolfganga Amadeusza Mozarta. Dzieckiem już zyskał podziw i oklaski wielkiego świata, w ciągu dwudziestoletniej swej działalności od 15-go roku do 35, w którym umarł — porywał serca tysięcy słuchaczy mszami i operami, pieśniami i kompozycyami instrumentalnemi a kiedy umarł, musiano go na koszt gminy pochować, i nawet żaden z przyjaciół nie odprowadził zwłok do grobu, ponieważ dzień był pochmurny i nikt też miejsca jego wiecznego spoczynku dotąd nie zna. Śliczny jest szkic z olejnego obrazu Munkacsego, przedstawiający „Ostatnie chwile Mozarta“. Kilka jeszcze innych illustracyj przedstawia mistrza na łożu śmiertelnem, wsłuchanego w muzykę swojego „Requiem“, które przyjaciele grają na fortepianie. Jest tu i ten fortepian Mozarta, mały insrument z marką augsburskiego fabrykanta, z roku 1762 o $4\frac{1}{2}$ oktawach, jest i autograf „Requiem“, pisany drżącą dłonią schorzałego kompozytora i autograf symfonii G. moll z r. 1788 i mszy z r. 1780 (kiedy Mozart miał lat 14!). Tuż obok portretów mistrza, jego siostry Maryanny i ojca Leopolda, widać też ujmujący obraz Constanzy, żony Mozarta, która choć drugi raz wyszła za mąż, przez całe swoje życie dochowała wierną pamięć gieniuszowi pierwszego męża, z którym tyle dzieliła przykrych chwil niedostatku a nawet nędzy — i o którego sławę i uznanie walczyła do zgonu, dożywszy tej przynajmniej pociechy, że ludzie coraz głośniej przyznawać się zaczęli do strasznej krzywdy, wyrządzonej zmarłemu.

Oddział Beethovena zawiera również portrety mistrza i to w niezwykłej ilości i w bardzo różnych epokach życia malowane, dalej autografy sonaty dla basetli Op. 69, kwartetów opus 130 i 131, muzyki do Egmonta Op. 34, sonaty Op. 109, missa solennis Op. 123 (dwa razy przepisywanej) wielkiej fugi Op. 133. wreszcie nadzwyczaj ciekawy autograf z 11

roku życia muzyka (fugi na dwa głosy). Piękną jest ilustracya wizyi Beethovena, przedstawiająca mistrza, który usnął nad fortepianem i któremu objawiają się rozmaite postacie z jego utworów muzykalnych. Ciekawym jest także oryginał kontraktu, którym arcyksiążę Rudolf, książę Kińsky i Lobkowitz obowiązują się Beethovenowi wypłacać rocznie 4000 złotych, aby go zatrzymać w Austryi. Kasa nie wypłaciła potem wyznaczonych sum i czytamy list Beethovena do adwokata Kanki w Pradze, z którego wynika, że chciał procesować się o tę sumę. Głębokie wrażenie robi testament muzyka z r. 1802. Choć ma dopiero lat 28 — powiada — stał się już filozofem, życie płynęło mu smutnie i gotów jest umrzeć, prosi tylko, aby spisano historyą jego choroby i gdyby ludzie przekonali się, że jego cierpienia fizyczne (myśli zapewne o objawiającej się już wtedy głuchocie) stanęły mu na przeszkodzie do pełnego rozwoju.

Po Beethovenie idą: Schubert i romantycy: Weber, Mendelssohn, kompozytorowie oper: Mayerbeer, Marschner, Flotow, Donizetti, Spontini, Bellini, Rossini i inni. Oglądanie wszystkich tych oddziałów zobojętnia wreszcie widza. Kto wśród tych najnowszych i nowych kompozytorów ma swoich ulubieńców, ten zatrzyma się przy jednym lub drugim, spojrzy na portret, na autograf, na śpiewaczki sławne, których portrety porozwieszano między współczesnymi twórcami oper i pieśni. Jest tu: Jenny Lind i Catalani Malibran i Luigia Sandrini.

Smutni, znużeni wychodzimy z wystawy. Rodzi się w nas uczucie, jakbyśmy opuszczali cmentarz wielkości i jakbyśmy przez kilka godzin czytali nagrobki sławne. Z uczuciem przeświadczenia o strasznem ograniczeniu wszelkiego i największego nawet gieniuszu opuszczamy szerokie przedsionki, w których nagromadzono skarby 15 stuleć.

„Wszystko ludzkie znika, ginie".

Dr. H. M.

TUŁACZE NIEBIOS.

Pogadanka naukowa

przez Maryę Taïdę Parvi.

I. *)

W świetle astrologii.

Może żadne ze zjawisk przyrody nie oddziaływało tak silnie i potężnie na umysł ludzki, jak te błędne, nieregularnie a rzadko tylko ukazujące się na niebie gwiazdy ogoniaste, zwane kometami... Już od najbardziej zamierzchłej starożytności przypisywali im ludzie złowrogi a zgubny wpływ na tok ziemskich wypadków — i przywiązywali do ich ukazania się pewne wierzenia, które gdzieniegdzie wkraczały w granice religijnego zabobonu, a gdzieindziej stawały się nawet naukowym obłędem.

Chaldejscy kapłani i aryjscy magowie wysnuwali z ich przejścia rozmaite wróżby, któremi straszyli ciemne masy ludu, aby je tem łatwiej opanować. Egipcyanie, a wślad za nimi i Grecy, badając co prawda sumienniej te niezwykłe zjawiska, na polu dociekań naukowych doszli także tylko do astronomicznego absurdum t. j. do przekonania, że jak inne ciała niebieskie, tak i komety wywierają potężny wpływ na losy ludzkiego żywota.

Rzymianie dalej jeszcze pod tym względem posunęli zabobon; utrzymywali oni, że kometa, która ukazała się 43 roku przed Chr. w sam dzień śmierci Cezara, była duszą wielkiego Juliusza (patrz „Metamorfozy" Owidyusza).

Nadchodzą wreszcie wieki średnie — wieki najść, walk, zaburzeń — wieki ucisku, tyranii i ciemnoty, zresztą bezprzykładnej w dziejach. Tu i owdzie tylko przebłyskuje słabe światełko jakiego zapoznanego geniuszu, skrępowanego więzami utartych — bo przyjętych — norm myślenia. Po za tem ciemność i ciemność straszna, bezdenna, ciemność tem okropniejsza, że rozmyślnie szerzona przez tych, co władzę w swem ręku dzierżyli...

Walka zastępuje natenczas posłannictwo dziejowe narodów — wyzysk, rozwój ekonomiczny — ucisk i ogłupienie, kulturę — dość wspomnieć tylko, że chemia i astronomia, dwie najsilniejsze dźwignie nauki, w zawiązku swym były... alchemią i astrologią!

Jedni w dobrej wierze działając, drudzy ulegając popędowi bezwzględnego, odruchowego naśladownictwa, tamowali naturalny bieg władz ducha ludzkiego — wreszcie ci, którzy nie wierzyli w głoszone przez ogół zasady, udawali, że zgadzają się z niemi, bo albo widzieli w tem korzyść, albo nie mieli dosyć odwagi, aby wystąpić głośno przeciw niedorzecznościom, tradycyą uświęconym.

Kto tylko był wówczas bogatszym i znakomitszym w Europie, trzymał wyłącznie dla własnego użytku astrologów [1]). Ci sporządzali najbałamutniejsze horoskopy, podporządkowywali życie pojedyńczych ludzi pod znaki konstelacyi niebieskich, czynili planety odpowiedzialnemi za dobre i złe losy, zwłaszcza wielostronnie posługiwali się kometami, przypisując ich ukazaniu się śmierć znakomitych ludzi, upadek państw [2]), a nawet i kataklizmy przyrody.

Dopiero z brzaskiem XVI wieku — tego wieku odkryć, reform i śmiałych na polu naukowem zdobyczy, poczęły się chwiać na fundamencie głupoty ludzkiej zbudowane poglądy astrologów.

I tak: Sławny Erazm Rotterdamczyk ze słuszną ironią wypowiedział kilkakrotnie później powtarzane zdanie: „Dałby Bóg, aby wszelkie wojny i inne klęski ludzkości powód swój miały tylko w wpływie, jaki komety na żółć władców świata wywierają" — a w sto lat później Gassendi rzekł: „Komety są rzeczywiście straszne z powodu naszej głupoty. Tworzymy sobie sami, bez powodu, przedmioty strachu i nie dość mając rzeczywistych nieszczęść, temi urojonemi trapimy się jeszcze".

Były to pierwsze a więc słabe wstrząśnienia myśli krytycznej — w ślad za niemi poszły jednak i poglądy na obserwacyi oparte, które początkowo przyjęte jedynie przez potężne umysły, następnie rozszerzyły się i stały się powszechnemi zdobyczami.

II.

Nowsze poglądy.

Do obalenia zabobonu potrzeba było odnaleść prawa ruchu komet. Uczynił to Newton, badając wielką kometę z r. 1680. Stwierdziwszy, że według praw powszechnego ciążenia, bieg komety powinien był równać się krzywiźnie bardzo wydłużonej, spróbował przy pomocy swego współpracownika i przyjaciela Halley'a — przedstawić matematycznie ruch tego ciała, co mu się też w zupełności udało. Dalsze prace nad tym przedmiotem prowadził już samodzielnie Halley i udowodnił, że komety, widziane w r. 1531 i 1607 stanowią jedno i to samo ciało, które — jak twierdził — ukazać się miało znów r. 1758 [3]).

Badania te wykazały dalej, że większość komet obiega słońce po drogach regularnych, przez co i ukazanie się ich ponowne może być obliczone naprzód.

Z tego pewnika wysnuto wniosek: ponieważ komety nie zjawiają się przypadkowo, przeto nie mogą być niczem cudownem, złowróżbnem.

Odkrycie Halley'a dało impuls do dalszej pracy, a ta doprowadziła do ogromnie ważnych wyników, a mianowicie: wykazała, że

1) wszystkie komety krążą około słońca, a to bądź po drogach zamkniętych, mniej lub więcej wydłużonych elips, bądź po drogach otwartych t. zw. hyperbolach lub parabolach.

2) Zmiennny blask komet i znaczna różnica, dostrzegana w wielkości tych ciał, pochodzi z niejednakowej odległości ich obiegu względnie do słońca i ziemi, tak, iż niektóre z nich, widziane gołem okiem, przedstawiają się wspaniale [4]) — inne, jako drobne, słabo błyszczące punkciki świetlne — a inne tylko za pomocą teleskopu dostrzeżone być mogą.

Cztery są charakterystyczne cechy, według których odróżniamy komety od planet, a mianowicie:

1) wygląd ich jest mgławiczny, a zazwyczaj mają ogon znacznej rozciągłości.

2) orbity ich są bardzo wydłużonemi elipsami, parabolami lub hyperbolami [5]).

3) najrozmaitsze a wielkie pochylenie płaszczyzny dróg tych ciał do ziemskiej ekliptyki (niektóre komety biegną po drodze, leżącej względem ziemskiej ekliptyki pod kątem 90°).

4) kierunek ich obiegu po większej części wręcz jest przeciwny kierunkowi obiegu planet (biegną od Wschodu na Zachód, podczas gdy wszystkie inne ciała niebieskie, do systemu słonecznego należące, odbywają ruch postępowy od Z. na W.).

Stąd wynika, że komety prawdopodobnie nie należą do tej samej kategoryi ciał niebieskich, co planety — że pochodzeniem swem nie należą nawet do układu słonecznego — że błądzą wśród przestworów — że mogą się przenosić od systemu jednego słońca do drugiego — że obiegają nasze słońce dlatego, iż porwane zostały siłą jego atrakcyi — i że, jak przyszły w te regiony, tak samo z nich kiedyć będą się mogły wydalić.

(D. c. n.).

*) Wyjaśnienia w dopiskach damy przy dokończeniu artykułu.

Treść Numeru:

Redaktor główny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.

dotąd listu Juliusza Słowackiego, który twórca „Beniowskiego“ napisał w Genewie 1 kwietnia 1835 r. do matki, zamieszkałej w Krzemieńcu. W piśmie tem udziela Słowacki matce praktycznych rad i wskazówek co do zamierzonej przez nią podróży do Włoch.

*** Pan Ignacy Matuszewski opublikował w „Przeglądzie tygodniowym“ ciekawą pracę pt.: „Doktryny współczesnego spirytyzmu i okultyzmu, a mistyka Słowackiego“.

*** P. Antoni Potocki rozpoczął w „Głosie“ druk nader interesujących uwag na temat: „Statystyki litorackiej w Królestwie. Autor dzieli swą pracę na dwie części, tj. zapowiada statystykę wydawnictw, czyli wytwarzania i statystykę czytelnictwa, tj. spożywania literackiego.

*** W ostatnim zeszycie lipskiego miesięcznika „Gesellschaft“, znajdujemy referat z dziedziny ostatnich objawów w naszej literaturze, pióra p. Ignacego Suessera. Autor sprawozdania zastanawia się szczegółowo nad poezyami St. Rossowskiego, w którego wybitnym talencie dopatruje się wpływów Shelley'izmu; dalej nie szczędzi rzetelnego uznania „Studyom i szkicom filozoficznym“ naszego współpracownika p C. Jellenty, wspomina o ksiązce Wł. Smoleńskiego: „Przewrót umysłowy w Polsce XVIII w.“, wreszcie dłuższy ustęp poświęca ćwierćwiekowemu jubileuszowi Elizy Orzeszkowej i wydanym ku jej czci pismom: między innemi podnosi p. S. wyczerpujące studyum o znakomitej autorce „Nizin“, pióra p. Nitowskiego, zamieszczone w ubiegłym roczniku naszej „Myśli“.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od Redakcyi).

W szeregu krakowskich zakładów meblowych, magazyn pod firmą Stachowski i Kiełpiński w Krakowie, ulica Sławkowska L. 1 wyróżnia się od innych doborem towaru, jakością takowego i przystępnemi cenami. Magazyn ten jest obficie zaopatrzony w meble stylowe, fantazyjne i we wszelkie potrzeby dekoracyjne salonów.

Fabryka pp. Stachowskiego i Kiełpińskiego, zatrudniając kilkudziesięciu robotników, fachowo uzdolnionych, może dać swym odbiorcom tylko z najlepszego materyału i najlepiej zrobione meble, czego dowodem, że całe umeblowanie mieszkania prof. Obalińskiego wyszło z pracowni wymienionej, a jest ono tak wspaniale odrobione, tak gustownie dobrane, że ci, którzy umeblowanie to widzieli, nie chcieli wierzyć, że z krajowej ono wyszło fabryki. Dlatego też polecamy gorąco wszystkim interesowanym magazyn mebli i zakład tapicersko-dekoracyjny pp. Stachowskiego i Kiełpińskiego.

XXXI. ZAMKNIĘCIE RACHUNKOWE
TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ W KRAKOWIE

za czas od 1-go Kwietnia 1891 do 31-go Marca 1892 roku.

(DZIAŁ OGNIOWY).

Fundusz asekuracyjny ogniowy na rok 1891/92.

PRZYCHÓD.

	Złr.	ct.
W roku 31 wystawiono 299.700 ważnych polic, którémi ubezpieczono wartość złr. 496,082.653.		
Zaliczka przeniesiona z roku 1890 netto . . . Złr. 1,107.798·81		
Prowizya agencyjna i kontrasekuracya . . . „ 310.952·63	796.846	18
Zaliczka zebrana w roku 31	3,308.995	96
Procenta od papierów wartościowych, od gotówek lokowanych w Bankach i Zakładach i procenta od weksli stron ubezpieczonych	126.557	25
Dochód z realności netto	8.186	55
Z ewaluacyi monet	564	48
Fundusz asekuracyjny przeniesiony z roku 1890	6.000	—
Fundnsz na szkody nieuregulowane przeniesiony z roku 1890	83.065	68
	4,330.216	10

ROZCHOD.

	Złr.	ct.
Premia kontrasekuracyjna	950.723	17
Szkody i koszta likwidacyi wypłacone w roku 31 po potrąceniu udziału Towarzystw kontrasekuracyjnych	1,229 142	45
Fundusz na szkody nieuregulowane po potrąceniu udziału Towarzystw kontrasekur.	139.959	61
Zaliczka na dalsze lata po potrąceniu prowizyi agencyjnej i kontrasekuracyi na dalsze lata	878.349	11
Koszta administracyjne	339.581	84
Subwencye dla straży ogniowych	5.916	—
Odpisy z wartości inwentarza	2.804	62
Prowizya agencyjna Złr. 379.517·26 po strąceniu prowizyi otrzymanej od Towarzystw kontrasekuracyjnych . . . Złr. 254.015·66	125.501	60
Podatki rządowe	14.312	23
Restauracya domu i odpis z wartości domów	4.475	50
Na cele humanitarne z fund. dyspozycyjnego Rady Nadzorczej	5 000	—
Odpis przepadłych zaległości	555	49
Fundusz na renumeracye	22.634	70
Czysta pozostałość	611.259	78
	4,330.216	10

Kraków, dnia 31 Marca 1892 r.

DYREKCYA:

Zenon Słonecki. Maksymilian Łępkowski. Henryk Kieszkowski.

Komisya kontrolująca:

Wł. Gniewosz. W. Gnoiński. Fr. Jasiński. St. Komornicki. Ig. Głażewski. W. Kraiński.

Naczelnik rachunkowości: *Jan Geisler.*

Rachunek bilansu z dniem 31 Marca 1892 r.

Stan czynny.

	Złr.	ct.
Zapas gotówki w kasie z dniem 31 marca 1892 r.	155.135	89
W Bankach i Zakładach na rachunku bieżącym	475.678	58
Weksle od stron ubezpieczonych	149.737	80
Zaległości u Agentów i Re[illegible]zentacyi	605.634	03
[illegible]	124.060	49
Towarzystwa asekuracyjne	258.099	64
Lokacya funduszu rezerwowego ogniowego.		
Wydział krajowy	367.411	79
Udział w Towarzystwie wzajemnego Kredytu	50.000	—
W towarzystwach zaliczkowych, spółkach rolniczych i tow. ochrony własności	200.472	90
Gminy i Członkowie Towarzystwa za dostarczone sikawki	17.720	32
Papiery wartościowe po kursie z d. 31 marca 1892 z kup. bież.	1,378.773	06
Wartość realności w Krakowie ulica Basztowa l. 124 i we Lwowie	431.000	—
Wartość inwentarza	11.057	83
Papiery wartościowe funduszu emerytalnego po kursie z d. 31/3 1892 z kup. bież.	209.598	62
Książeczka wkładkowa Towarzystwa wzajemnego kredytu (własność funduszu kalek Straży ogniowych	2.579	17
Efekta funduszu Pawła Przedpełskiego	8.614	49
Efekta funduszu „Białego Krzyża“	6.006	52
	4,451.581	13

Stan bierny.

	Złr.	ct.
Rezerwa zaliczki na dalsze lata mniej prow. agen. na dalsze lata i prem. kontrasekurac.	878.349	11
Rezerwa na szkody nieuregulowane netto	139.959	61
Fundusz na zwroty z lat poprzednich	[illegible]	97
[illegible] kalek straży ogniowych	[illegible]	[illegible]
[illegible] straży ogniowych	2.579	17
Fundusz na należytości skarbowe	11.096	25
Fundusz emerytalny	214.554	97
Fundusz dla straży ogniowych	4.874	62
Fundusz na różnicę kursu papierów wartościowych	68.639	85
Fundusz na remuneracye	22.661	31
Fundusz Pawła Przedpełskiego	8.614	49
Fuudusz „Białego Krzyża“	6.006	52
Fundusz rezerwowy ogniowy.		
Stan z dniem 1 kwietnia 1891 roku . . . Złr. 2,263.692·10		
Przybyło w roku 31 z 10% od zaliczek, z zysku na wylosowanych papierach wartościowych i niepodniesionego zwrotu Złr. 86.534·38	2,350.226	48
Saldo { 24% zwrotu dla członków . . . Złr. 600.703·73; do funduszu emerytalnego . . . „ 3.556·05; przeniesienie na rok 32-gi . . . „ 7.000·—	611.259	78
	4.451.581	13

Kraków, dnia 31 Marca 1892.

Dyrekcya:

Zenon Słonecki. Maksymilian Łępkowski. Henryk Kieszkowski.

Komisya kontrolująca:

Wł. Gniewosz. W. Gnoiński. Fr. Jasiński. St. Komornicki. Ig. Głażewski. Dr. W. Kraiński.

Naczelnik rachunkowości: *Jan Geisler.*

Fundusz asekuracyjny gradowy na rok 1891.

PRZYCHÓD.

	Złr.	ct.
W roku 1891 wystawiono 9.828 ważnych polic, którémi ubezpieczono wartość Złr. 25,001 813·—		
Zebrano zaliczki	515.973	30
Procenta od gotówki i weksli	2.698	49
Zysk z ewaluacyi rubli	460	87
Z odpisanych zaległości odzyskano	27	99
Niedobór za rok 1891	191.343	76
	710.504	41

ROZCHÓD.

	Złr.	ct.
Premia kontrasekuracyjna	268.719	61
Wynagrodzenia za szkody i koszta likwidacyi . . . Złr. 842.187·25		
Zwrot od Towarzystw kontrasekuracyjnych . . . „ 453.006·20	389.181	05
Prowizya agencyjna . . . Złr. 33.537·35		
Koszta administracyi . . . „ 41.220·38		
Złr. 74.757.73		
Prowizya kontrasekuracyjna . . . „ 22.153.98	52.603	75
	710.504	41

Rachunek bilansu z dniem 31 marca 1892 r.

Stan czynny.

	Złr.	ct.
Zaległość u Agentów	22.194	02
Pocztowa Kasa Oszczędności i na rachunku bieżącym w Bankach	25.255	43
Weksle od stron ubezpieczonych	24.405	87
4½% Listy Zastawne Tow. Kredyt. Nom. 251.600 po Złr. 99,50	250.342	—
Kupony bieżące	2 830	50
5% Listy Zastawne Banku hip. prem. Nom. 22.000 po złr. 107,50	23.650	—
Kupony bieżące	91	64
Niedobór za rok 1890 . . . Złr. 153,354.36		
Niedobór za rok 1891 . . . „ 191,343.76	344 698	12
	693.467	58

Stan bierny.

	Złr.	ct.
Fundusz na zwroty z roku 1889	946	10
Towarzystwo ogniowe	60.839	65
Fundusz na należytości skarbowe	340	—
Różnica kursu papierów	3.612	75
Różni wierzyciele	641	37
Fundusz rezerwowy gradowy.		
Stan z dniem 1 kwietnia 1891 . . . Złr. 579.155.72		
Przybyło w roku 1891 . . . „ 47.931.99	7.62087	71
	693.467	58

Kraków, dnia 31 Marca 1892.

Dyrekcya:

Zenon Słonecki. Maksymilianę Łępkowski. Henryk Kieszkowski.

Komisya kontrolująca:

Fr. Jasiński. W. Gnoiński. St. Komornicki. Wł. Gniewosz. Ig. Głażewski. Dr. Wł. Kraiński.

Naczelnik rachunkowości: *Jan Geisler.*

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW TOWARZYSTWA WZAJEMNYCH UBEZPIECZEŃ w KRAKOWIE

w dziale ubezpieczeń na życie za rok XXII. tj. za czas od 1 stycznia do 31 grudnia 1891 r.

Rachunek zysków i strat z ubezpieczeń kapitałów i rent.

Przychód:

		Złr.	ct.
1	Przeniesienie rezerw i premij z r. 1890	4,876.047	50
2	" funduszu na nieuregulowane szkody z r. 1890	42.275	—
3	" " " dywidendę z r. 1890	56.148	90
4	" " " różnicę kursu z r. 1890	180.000	—
5	Zebrane premie i wpisowe z polic	809.028	40
6	Procenta, Czynsze z nieruchomości itd.	258.935	81
		6.222.435	61

Rozchód:

		Złr.	ct.
1	Premie kontrasekuracyjne	47.649	72
2	Wypłacone szkody, renty; zwrot premij i fundusz na szkody nieuregulowane	342.598	63
3	Wykup polic	52.715	53
4	Rezerwy i przeniesienia premij od kapitałów i rent	5,312.042	64
5	Koszta administracyi	139.580	14
6	Należytości rządowe i stemple	12.358	94
7	Wypłacona dywidenda i fundusz na niewypłaconą dywidendę	55.042	38
8	Fundusz emerytalny urzędników	800	—
9	Strata na kursie rubla i papierów publicznych i fundusz na różnicę kursu	2.429	43
10	Fundusz amortyzacyi domów	181.709	17
	Saldo zysk	75.509	03
		6,222.435	61

Podział zysku:

		Złr.	ct.
1	20% w myśl statutu na fundusz rezerwowy	15.101	80
2	Na dywidendę Członkom pierwszych lat ośmnastu	49.164	45
3	Na rezerwę zysków i rezerwę specyalną 14% od ubezpieczeń pośmiertnych a 6% dla ubezpieczeń dożywotnich	11.242	78
		75.509	03

Kraków, dnia 1 Stycznia 1892 r.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Z. Słonecki. *M. Łępkowski.* *H. Kieszkowski.*

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie: *Cz. Kieszkowski.*

W dowód zgodności z księgami

CZŁONKOWIE RADY NADZORCZEJ:

J. hr. Męciński. *S. Henzel.* *Dr. M. Straszewski.* *Z. Obertyński.* *St. Żaba.*

jako Komisya kontrolująca.

Stan majątku działu ubezpieczeń na życie.

Stan czynny:

		Złr.	ct.
1	Zapas gotówki na dniu 31 Grudnia 1891	11.399	63
2	Rozporządzalne należytości w instytucyach kredytowych	124.540	53
3	**Papiery wartościowe według kursu z dnia 31 Grudnia 1891 r.**	1.832.930	67
4	Wartość nieruchomości	1.944.000	—
5	Pożyczki	2,299.450	12
6	Różni debitorowie	363.892	83*)
7	Wartość urządzenia	500	—
8	Rezerwa premij u Tow. reasek.	259.136	67
		6.835.850	45

Stan bierny:

		Złr.	ct.
1	Rezerwy i przeniesienia premij zabezpieczonych kapitałów i rent	5,571.179	31
2	Fundusz na nieuregulowane szkody	49.900	—
3	Fundusz na dywidendę	8.214	08
4	Fundusz na różnicę kursu	66.000	—
5	Fundusz rezerwowy i inne fundusze	676.938	43
6	Różni kredytorowie	86.122	84
7	Obciążenie dóbr ziemskich	301.986	76
	Saldo zysk	75.509	03
		6.835.850	45

*) Do 15 Maja 1892 r. spłacono przeszło $^2/_3$ części zaległości.

Kraków, dnia 1 Stycznia 1892 r.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie:

Z. Słonecki. *M. Łępkowski.* *H. Kieszkowski.*

Naczelnik działu ubezpieczeń na życie: *Cz. Kieszkowski.*

W dowód zgodności z księgami

CZŁONKOWIE RADY NADZORCZEJ:

J. hr. Męciński. *S. Henzel.* *Dr. M. Straszewski.* *Z. Obertyński.* *St. Żaba.*

jako Komisya kontrolująca.

ZAMKNIĘCIE RACHUNKÓW

TOWARZYSTWA WZAJEMNEGO KREDYTU W KRAKOWIE

i Filii we Lwowie z dniem 31 Grudnia 1891 roku.

Aktywa. Rachunek bilansu z dniem 31 grudnia 1891. Pasywa.

Aktywa	Złr.	ct.	Pasywa		Złr.	ct.
Gotówka w kasie	39.900	21	Udziały Członków		783.324	56
Weksle Członków	2,474.966	01	Wkładki na książeczki		1,446.262	29
Rachunek bieżący	158.159	60	Weksle reeskontowane		337.315	—
			Procent od weksli pobrany za rok 1892		15.568	16
			Fundusz rezerwowy	Złr. 16.664·63		
			Procent narosły w roku 1891	„ 916·58	17.581	21
			Saldo zysk		72.974	60
	2,673.025	82			2,673.025	82

Straty. Rachunek zysków i strat. Zyski.

Straty		Złr.	ct.	Zyski		Złr.	ct.
Procenta od wkładek na książeczki		62.165	77	Procent od weksli:			
„ od weksli reeskontowanych i Lombardu		11.231	44	Przeniesienie z roku 1890	Złr. 16.454·89		
„ dla funduszu rezerwowego		916.	58	w roku 1891 pobrano	„ 142.568·11		
Koszta administracyi: płace, druki, czynsz, koszta prawne i t. p.		15.996	83		„ 159.023·—		
„ „ podatki i należytości		11.542	06	Na rachunek roku 1892 odpada	„ 15·568·16		
Odpisane należytości wątpliwe		4.062	56	Pozostaje na rachunek r. 1891		143.454	84
Saldo zysk	Złr. 53.974·60			Procent od rachunku bieżącego		16.435	—
Przeniesienie z r. 1890	„ 19·000 —	72.974	60	Przeniesienie zysku z roku 1890		19.000	—
		178.889	84			178.889	84

Rozdział zysku:

6% jako dywidenda od udziałów członkom	złr.	44.507·44
10% „ tantiema dla Rady Nadzorczej	„	5.397.46
10% „ „ „ Dyrekcyi	„	5.397.46
Na fundusz emerytalny	„	672 24
Przeniesiono na rok 1892	„	17.000·—
	złr.	72.974·60

Kraków, dnia 31 Grudnia 1891.

DYREKCYA:

Zenon Słonecki. *Maksymilian Łępkowski.* *Henryk Kieszkowski.*

Naczelnik biura: *Kroebl.*

Komisya kontrolujaca:

Fr. Jasiński. W. Gnoiński. Włodz. Gniewosz. St. Komornicki. Dr. Wł. Kraiński. Ig. Głażewski.

(Przedruk nie będzie płacony).

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.